

# SALLY WENTWORTH

## Sensacja na pierwszej stronie

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Widok otoczonej drzewami posesji nie wzbudził w Clare żadnych szczególnych emocji. Dom nie wydał się jej znajomy. Nie odniosła wrażenia, że kiedyś już tu była. Przeszła szybko alejką do wejścia, przekręciła klucz w zamku i pchnęła drzwi. Dopiero kiedy przestąpiła próg i zobaczyła posadzkę z czarno-białych płytek oraz piękne, wykwintne umeblowanie, pamięć przywołała wspomnienia. Wstrzymała oddech. Tak... to było tutaj. Od tamtych dni, gdy mieszkała tu z Jackiem Strakerem, i od tamtej jednej jedynej nocy, którą spędziła w jego ramionach, upłynęło sześć lat, lecz wszystko to stanęło jej teraz przed oczami jak żywe.

Powoli ruszyła w głąb domu, prawie nie zauważając antyków, które przyjechała wycenić, i jak w transie weszła schodami na górę, prosto do pokoiku, który wtedy zajmowała. Łóżko było teraz niczym nie przykryte, ale doskonale je sobie przypominała. Naraz z całą mocą wróciły do niej tamte wrażenia - pożądanie Jacka i tkliwa, kojąca miłość, z jaką na nie odpowiedziała. Poczowała pulsowanie w skroniach i przejęta do nieprzytomności nie usłyszała, że pod dom zajechał samochód. Nie zdawała sobie sprawy, że nie jest już sama, aż usłyszała męski głos.

- Panna Longman? - zawołał ktoś z dołu. - Czy pani tam jest?

Wyrwana tak nagle ze swoich doznań, odwróciła się przerażona. W żadnym razie nie mógł zastać jej w tym pokoju! Wybiegła na korytarz. Nie potrzebowała patrzeć na mężczyznę stojącego w otwartych drzwiach domu. I bez tego wiedziała, że to Jack. Ten głęboki głos rozpoznałaby wszędzie. Słyszała go do tej pory w swoich snach, w nocnych koszmarach.

Zbiegła szybko po schodach.

- Przepraszam, że nie czekałem na panią - zaczął. - Marudziłem na autostradzie i... - Przez moment sądziła już, że jej nie rozpozna, ale nagle umilkł i spojrzał na nią absolutnie zaskoczony. - Clare? Mój Boże! To ty.

- Nie wiedziałam, że chodzi o twój dom - zarzekła się z miejsca. - Nie znałam tamtego adresu. W ogóle go nie pamiętałam.

- Rozumiem, jasne... - Patrzył na nią, jakby nie wierzył własnym oczom. - Ależ się zmieniła! Prawie nie do poznania. ..

Umykając spojrzeniem, wyminęła go i podeszła do drzwi.

- Wycenę będzie ci musiał zrobić ktoś inny - rzuciła już w progu.

- Ależ... Czekał! - Wyciągnął rękę, próbując chwycić ją za nadgarstek.

- Nie dotykaj mnie! Jak śmiesz! - krzyknęła w strachu, który przerodził się w uczucie galopującej paniki.

Roześmiał się zdumiony.

- Nie bądź śmieszna! To wszystko stało się tak dawno, i w ogóle... - Zamilkł, gdy spojrzała mu prosto w twarz i zobaczyła w jej oczach zimną furie.

- Zejdź mi z drogi! - Podbiegła do swojego samochodu i błyskawicznie wsiadła.  
- Clare, proszę cię... Poczekaaj! - zawołał, wybiegając za nią. - Słuchaj, naprawdę nie ma potrzeby...

Uruchomiła już jednak silnik i ruszyła, lecz musiała ostro hamować, gdyż Jack stanął na środku podjazdu.

- Nie zostawiajmy tego tak, Clare! - krzyknął, ale klakson zagłuszył jego słowa. Kiedy na moment uskoczył z drogi, chcąc szarpnąć za drzwiczki, skorzystała z okazji i wyjechała na ulicę. Myślała teraz wyłącznie o jednym - żeby zabrać Toby'ego i wywieźć go stąd jak najprędzej. Jack nie powinien go nigdy zobaczyć! Nie wolno mu było nawet dowiedzieć się o jego istnieniu.

Pięcioletni Toby, jej synek i największy skarb, bawił się tymczasem w ogrodzie pensjonatu, w którym wynajęła pokój. Chwyliła go w ramiona.

- Nic nie wyszło - powiedziała, starając się, żeby głos nie zdradził, jak bardzo jest zdenerwowana. - Musimy iść. Już! Pakujemy się. Szybko!

- Ale, mamusiu, przecież dopiero przyjechaliśmy... Zaciągnęła go jednak do pokoju i zaczęła wrzucać do walizki rzeczy, które wypakowała przed godziną.

- Chodźmy! No, chodź, Toby!

Popędziła chłopca na dół i wcisnęła pieniądze do ręki zaskoczonej właścicielki pensjonatu.

- Przepraszam, coś mi wyskoczyło. Nie będziemy mogli zanoćować.

Wrzuciła walizkę do bagażnika i usiadła za kierownicą.

- Zapinaj pas, Toby. Szybko!

Nacisnęła pedał gazu. Uciec stąd! Uciekać jak najprędzej! Drogę blokowała jednak wolno jadąca ciężarówka, a z przeciwnego kierunku nadjeżdżał samochód osobowy. Kiedy ich mijał, zauważyła, że prowadzi go Jack. On również ją spostrzegł, a widok dziecka na tylnym siedzeniu wyraźnie bardzo go zaskoczył.

*«Milioner walczy o prawo do miłości dziecka» Historia trzydziestoparoletniego wpływowego biznesmena, Jacka Strakera, dowodzi raz jeszcze, że nawet największe pieniądze nie zapewniają szczęścia, a zwłaszcza tego, na czym zależy nam najbardziej. Rozwiedziony i bezdzielny, Straker nie kwapił się do ponownego ożenku i pogodził z samotnością, gdy nagle los - zdawałoby się - wyciągnął do niego rękę. Biznesmen spotkał ponownie kobietę, którą znał przed laty, i dowiedział się, że ma z nią syna! Jednakże matka dziecka, dwudziestopięcioletnia Clare Longman, nie zgadza się na bliższy kontakt ojca z synem. Podobno początkowo zaprzeczała nawet ich pokrewieństwu, lecz wyszło na jaw, że w metryce chłopca podała jako ojca nazwisko Straker. Mały Toby nosi obecnie nazwisko matki. Ma pięć lat i uczęszcza do elitarnego przedszkola w Londynie.*

*Jack Straker pochodzi ze środowiska robotniczego. Już w latach szkolnych wykazywał jednak ogromne zdolności organizacyjne i założył swoją pierwszą firmę. Podczas uwieńczonego dyplomem studiów uniwersyteckich rozwinął dwie następne. Ma doskonałą intuicję w interesach i każda inwestycja zwraca mu się z nawiązką. Ale czy uda mu się i tym razem? Prawa do kontaktu z synem domaga się na drodze sądowej, lecz matka chłopca jest nieugięta. Powody jej tak kategorycznej postawy*

*nie są znane. Nie wiadomo też, co poróżniło ich w przeszłości. Być może przyczyna kryje się w pochodzeniu pani Longman. Jej ojciec - który zginął z żoną w wypadku niedługo po narodzinach córki - był pułkownikiem Gwardii. Wszystko to jest bardzo intrygujące.*

*Oczekujemy z ciekawością na orzeczenie sądu i życzymy panu Strakerowi - znanemu filantropowi - powodzenia.*

## ROZDZIAŁ DRUGI

Wejście Clare wywołało poruszenie na sali. Na moment ucichły rozmowy. Poczula na sobie wzrok wielu osób, ale jakby nigdy nic podeszła do dyrektora domu aukcyjnego.

- O, jesteś. Jak to dobrze, że udało ci się przyjść.

Uprzejmie wyciągnął do niej rękę, lecz w jego spojrzeniu nie było szczerości. Tak samo lub podobnie patrzyli na nią inni zebrani w sali ludzie, których do tej pory uważała za przyjaciół lub kolegów. Od chwili gdy w prasie brukowej ukazały się te przekłete wzmianki na jej temat, w ich postawie wobec niej zaszła subtelna, lecz widoczna zmiana. Widać to było zwłaszcza w zachowaniu mężczyzn.

Przyjście tutaj wymagało od niej pewnej odwagi. Być może byłoby łatwiej, gdyby obecni byli tylko znajomi, ale tego wieczoru dom aukcyjny sponsorował akcję pomocy dla dziecięcego szpitala w Londynie. Była jednym z głównych ekspertów w dziedzinie sztuki secesyjnej i art deco, toteż jej nieobecność mogła zostać uznana za tchórzostwo. Chociaż najchętniej zaszyłaby się w zaciszu domowym, włożyła jednak najnowszą koktajlową sukienkę, przykleiła uśmiech do twarzy i oto była. Niech sobie poplotkują, jakoś to zniesie. Martwiła się wyłącznie o Toby'ego. Była wściekła, bo z powodu tego przekłętego procesu już mu dokuczano w przedszkolu.

Wzięła kieliszek szampana i podeszła do znajomego eksperckiego grona, próbując zachowywać się spokojnie i naturalnie. Jednakże pół godziny później zaczęli napływać pierwsi goście. W drzwiach salonu pojawili się organizatorzy akcji, bogate damy z wyższych sfer i ich mężowie, ludzie teatru, biznesu, politycy - wszyscy, którym zależało na tym, żeby się pokazać w tym ekskluzywnym światku. Clare, reprezentująca gospodarza wieczoru, nie mogła stać na uboczu. Witała przybyłych i dziękowała za datki, ignorując znaczące uśmieszki osób, które ją rozpoznały. Zarumieniła się jednak, gdy usłyszała, jak dwie panie, pochylając ku sobie głowy, plotkują na całego.

- Nie wiedziałaś? - uświadamiała jedna drugą. - To ta dziewczyna, z którą romansował Straker. Mają podobno dziecko. Pisały o tym wszystkie gazety. Clare odeszła szybko, przeklinając pecha. Nie było żadnego powodu - prócz jej własnej, wynikającej z paniki reakcji - dla którego Jack mógłby coś podejrzewać, kiedy dwa miesiące temu zobaczył Toby'ego w samochodzie. A jednak! Niedługo potem odnalazł jej adres i dotarł do metryki. Próbował się z nią skontaktować, lecz nie odpowiedziała na żaden telefon ani list, nie wpuszczała go nawet, gdy przyjeżdżał do domu. Potem jednak wytoczył jej proces, a tego już zignorować nie mogła.

Ruszyła do wyjścia. Zrobiła swoje i nikt nie zauważy, jeśli teraz wyjdzie. Tymczasem ktoś otworzył drzwi. Podniosła wzrok i nagle uzmysłowiła sobie, że ma przed sobą Strakera. Najwyraźniej chciał do niej podejść, co widząc, czym prędzej dołączyła do niewielkiego grona osób otaczających najznakomitszego gościa - kogoś z dalszej rodziny królewskiej.

Dyrektor przedstawił ją i aż do rozpoczęcia aukcji, gdy wszyscy zajęli miejsca, bardzo się starała nie wypaść z kręgu.

Usiadła na samym końcu rzędu krzeseł, tak żeby Jack nie miał szans podejść. Zebrani zauważyli już jego obecność, znowu więc ożywiły się plotki. Nią samą nikt by się specjalnie nie interesował - była tu plotką - ale Strakera znali wszyscy. To był rekin, który z każdej grubej ryby mógłby zrobić sobie śniadanie. Kątem oka spostrzegła, że usiadł po przeciwnej stronie sali. Patrzył na nią z nie ukrywanym sarkazmem. Pospiesznie skierowała wzrok prosto przed siebie, stanowczo unosząc głowę. Nie będzie miał udziału w życiu Toby'ego! W żadnym wypadku! To niemożliwe po tym, jak ją potraktował, jak ją wykorzystał!

Aukcja rozpoczęła się, lecz Clare odpłynęła myślami daleko od ciepłej sali pełnej upierścienionych kobiet i wyfraczonych mężczyzn. Wróciło wspomnienie pewnej zimowej nocy, najzimniejszej, jaką kiedykolwiek przeżyła...

Auto, które zatrzymało się u zbiegu szos, było okazałe. Miało gładką, lśniącą karoserię; w ulicznych światłach wydawała się srebrzystoszara. Jego widok wzbudzał jednoznaczne wrażenie - wiedziało się od razu, że ktoś, kto prowadzi taki samochód, musi być zamożny, pewny siebie, że to na pewno nie byle kto. Skulona w kucki w przedsiönku sklepu, trzęsąc się z zimna, Clare - kompletnie załamana i bez nadziei na cokolwiek dobrego - podniosła klejące się powieki. Patrzyła z nie skrywaną zazdrością na ten ruchomy kokon ciepła i luksusu w środku mroźnej nocy. Światła zmieniły się na zielone i samochód ruszył, ale zaraz skręcił na plac przed osiedlem po przeciwnej stronie ulicy. Kierowca wysiadł. Bardzo się chyba spieszył, bo prawie wbiegł do bramy. Spostrzegła, że nawet nie zamknął porządnie drzwiczek, i ta lekkomyślność aż ją zastanowiła. Z oczami utkwionymi w samochodzie, pochłonięta myślą, że jest w nim ciepło, czekała, aż mężczyzna pojawi się znowu. Powoli wstała i jakby pociągała ją jakaś niewidoczna, magiczna siła, ruszyła w kierunku osiedla. Zaraz po wyjściu na dwór poczuła uderzenie lodowatego podmuchu. Wiatr zaparł jej oddech i wycisnął z oczu łzy. Przeszła przez jezdnię i przycisnęła twarz do żelaznego, ozdobnego ogrodzenia. Mężczyzna wciąż nie wracał, a drzwi samochodu były kusząco uchylone. Rozejrzała się, czy nikt jej nie obserwuje, ale dochodziła pierwsza w nocy i ulica świeciła pustkami. Ruch zamarł; taką lodowatą noc spędzało się najlepiej w domu.

Wahała się jeszcze przez moment, wiatr jednak przenikał ją na wskroś i popychał w stronę bramy, do samochodu. Chwilę później jej skostniałe palce chwyciły za klamkę. Wśliznęła się do środka i drzwi same zatrzęsły się za nią. Wiatr nie miał tu dostępu. Natychmiast przestało być zimno. Odetchnęła z ulgą. W samochodzie panowała zupełna ciemność, ale tylne siedzenie było szerokie i sprężyste. Clare namacała coś miękkiego. Wielki, gruby pled! Z westchnieniem rozkoszy położyła się, zwinęła w kłębek i z głową schowała się pod koc.

Samochód musiał być nowy. Skórzane obicia i tapicerka pachniały świeżością i luksusem. Clare rozkoszowała się jednak przede wszystkim ciepłem. Jakże dawno nie było jej tak dobrze! Tegoroczna zima była taka surowa! Marzła już od tak dawna, że prawie zapomniała, jak to jest, kiedy człowiekowi jest ciepło i wydaje się to takie naturalne, że w ogóle się o tym nie myśli... W pewnej chwili jej skołatany umysł odmówił posłuszeństwa i nie wiedzieć kiedy usnęła.

Jack Straker zszedł do samochodu dopiero po jakichś dwudziestu minutach.

Wieczorowy garnitur, w jakim przyjechał do domu, odwiesił do szafy. Był teraz w dżinsach i swetrze, stroju znacznie stosowniejszym do długiej jazdy. Szybko wstawił walizkę do bagażnika i wrzucił płaszcz z wielbłądziej wełny na tylne siedzenie.

Przynaglał go lęk. Sąsiadka ojca, która do niego zadzwoniła, nie kryła niepokoju.

Starszy pan, powiedziała, zachorował na grypę, ale nie chciał nikogo zawiadamiać.

Wdało się zapalenie płuc i nic mu się nie poprawia, nie pomagają leki. Są podstawy do obaw, a tymczasem w jej rodzinie wszyscy się pochorowali i nie ma możliwości go pielęgnować. Proponowano mu szpital, ale się nie zgodził.

Oczywiście, pomyślał od razu Jack. Ojciec zawsze był uparty. Po przejściu na emeryturę, tak jak sobie postanowił, postawił na swoim i zamieszkał w Lake District, gdzie mógł wreszcie poświęcić się łowieniu ryb - swojej ukochanej pasji. Nie widywali się teraz często. Obaj byli ludźmi niezależnymi duchem - ojciec, bo taki być chciał, a Jack - bo tak go wychowano. Jednakże głęboka więź między nimi nie została zerwana. Matka Jacka zmarła wiele lat temu, a ojciec nie zdradzał ochoty na powtórne małżeństwo - czy to z miłości, czy też ze zwykłej potrzeby posiadania towarzyszkę życia. Był człowiekiem, któremu całkowicie wystarczało własne towarzystwo, i radził sobie doskonale, póki nie powaliła go choroba.

Niespodziewany telefon sąsiadki był dla Jacka szokiem, zwłaszcza że alarmująca wiadomość doścignęła go w nocnym klubie, dokąd wybrał się po przedstawieniu w operze. Dojechawszy do londyńskiej obwodnicy, dodał gazu i ruszył prosto na północ. Uderzenie płaszcza, rzuconego na tylne siedzenie, wyrwało Clare ze snu. Obudziła się przerażona i w pierwszej chwili pomyślała, że usnęła w przedsionku sklepu i ktoś na nią napadł. Kiedy jednak samochód ruszył, przypomniała sobie, gdzie jest. Przez sekundę miała wrażenie, że jej obecność została zauważona, ale zaraz uświadomiła sobie, że gdyby tak było, kierowca dawno by ją wyrzucił. Czuła, że powinna dać o sobie znać, gdyż w przeciwnym razie Bóg jeden wie, jak się to może skończyć, ale samochód był taki ciepły, a pod wełnianym płaszczem zrobiło się jeszcze przytulniej. Nie była w stanie podjąć decyzji i walcząc ze sobą, znowu głęboko usnęła.

Duży samochód szybko przemierzał kilometry. Silnik mruczał miękko jak wypasiony kot. Jack włączył radio i nastawił cicho stację nadającą muzykę klasyczną. Program przerywały od czasu do czasu komunikaty meteorologiczne, w których powtarzała się informacja o niskich temperaturach i opadach śniegu, tym większych, im dalej na północ. Po dwóch godzinach jazdy zjechał z austostrady na stację benzynową. Napełnił bak i wszedł do baru, gdzie kupił bidon kawy i dwa sandwicze. Clare nie obudziła się w czasie tego postoju, lecz dopiero później, gdy Straker zatrzymał się znowu, by napić się kawy. To właśnie jej aromat dotarł do niej

przez okrycia i przebił się przez sen. Poczwała, że żołądek kurczy się jej z głodu. Kiedy bardzo powoli odsunęła pled z twarzy, zapach kawy stał się jeszcze intensywniejszy. Pić! Gotowa była oddać życie za filiżankę, za choćby łyżeczek. Usłyszała szelest odwijanej bułki. Zapach szynki sprawił, że musiała zatkać usta pięścią, żeby nie krzyknąć. Głód doprowadzał ją do szaleństwa. Odczuła prawdziwą ulgę, gdy samochód ruszył i znowu wypełniła go wyłącznie muzyka i woń skórzanych obić. O szyby uderzały duże płatki śniegu. Ponownie naciągnęła pled na twarz. Myślała o kierowcy. Widziała jedynie jego szerokie ramiona i czubek głowy wystający zza zagłówka oparcia. Nic bliższego nie dało się wywnioskować, odniosła jednak wrażenie, że mężczyzna jest młody. Dobrze to czy źle? - myślała. - I jak zareaguje na jej widok u celu swej podróży?

W gruncie rzeczy niespecjalnie ją to obchodziło. Gorzej i tak już być nie mogło, a zatem czym się przejmować? Dzięki Bogu chwilowo było jej ciepło i wygodnie, postanowiła więc nie martwić się na zapas i usnęła znowu.

Samochód przemierzał kilometr za kilometrem. Z powodu złych warunków atmosferycznych jechał teraz wolniej.

Dochodziła siódma rano. Niebo poblądło, ale Jack wciąż zmuszony był do korzystania z samochodowych świateł. Padał coraz gęstszy śnieg. Wycieraczki ledwie nadały się do czyszczenia przednią szybę. Jazda zaśnieżonymi bocznymi drogami, w które zjechał z autostrady, wymagała maksymalnej koncentracji. Zwolnił, żeby popatrzeć na drogowskaz, nic jednak nie dało się odczytać. Zjechał więc na pobocze i spojrział na mapę, ale uświadomił sobie, że to na nic. Stracił orientację. Nie pozostawało nic innego, jak wysiąść i oczyścić ze śniegu ten przeklęty znak. Otworzył samochód i od razu poczuł przenikliwe zimno. Rozpostarł ramiona, przeciągnął się i sięgnął do tyłu po płaszcz. Leżący pod nim, zmięty pled jakby się poruszył. Ki diabeł? Jack nachylił się i gwałtownie odrzucił koc, odsłaniając leżącą na siedzeniu postać.

- Co to ma być! - Chwyciwszy za kołnierz kurtki, jednym ruchem wyciągnął intruza z samochodu.

Zszokowana Clare prawie nie poczuła, kiedy znalazła się na śniegu. Tak długo już leżała zwinięta, że zeszytywniały jej nogi i przez chwilę nie była w stanie stać o własnych siłach. Próbowała się go przytrzymać, ale odepchnął ją od siebie z obrzydzeniem i potrząsnął z całych sił.

- Kim jesteś?! - krzyknął z wściekłością. - Kiedy wlałeś mi do samochodu? - Nie odpowiedziała, więc szarpnął nią jeszcze mocniej, aż spadł jej z głowy kaptur i odsłoniły się ciemne, potargane włosy. - Coś takiego! Dziewczyna!

Przez chwilę stali w zadymce na środku drogi, wpatrując się w siebie.

Przypuszczenia Clare sprawdzały się - rzeczywiście był młody, na oko przed trzydziestką... Wysoki... Na jej nerwowe przestraszone spojrzenie odpowiedział gniewnie:

- No mów, kim jesteś? Kiedy wsiadłaś?

Płatek śniegu osiadł jej na rzęsach i podniosła rękę, żeby go zetrzeć. Czwała, że przenikają ją ziąb.

- Proszę... Jest mi zimno.

Jack zawahał się, zaklął i podszedł do drogowskazu, żeby oczyścić go ze śniegu. Uznając, że zaakceptował jej obecność, Clare wsiadła szybko do samochodu. Chwilę później zasiadł za kierownicą, zamknął drzwi przed wdzierającym się zimnem i odwracając się do tyłu, popatrzył na nią znad oparcia.

- Gdzie się zabrałaś? Na stacji benzynowej? Kiwnęła głową. Nie było sensu przyznawać się do tego, że jechała z nim od początku, z samego Londynu.

- Niech to diabli! Nie mam czasu aż tam cię odwozić. Skąd ty właściwie jesteś? No co, nie masz języka w buzi? - zezłościł się, kiedy nie odpowiedziała. - Gdzie mieszkasz?

- Ja... Nigdzie.

- Czyli że uciekłaś z domu...

Ściągnął brwi i pojmując, że niczego z niej nie wydobędzie, zirytowany uderzył pięścią w siedzenie.

- No i co ja, do diabła, mam z tobą zrobić? Powinienem cię wyrzucić - dodał, jakby czytał w jej myślach. - I zrobiłbym to, gdyby nie było tak piekielnie zimno. - Schylił się, żeby zapiąć pas i ruszył. - Nie myśl, że puszczę ci to płazem. Przy pierwszej sposobności oddam cię w ręce policji. Niech się tobą zajmą.

Z odczuciem najgłębszej ulgi Clare zapadła się w siedzenie, ale nie położyła się już, a tylko owinęła pledem. Za szybą przemykały pustkowia, rozległe, otwarte przestrzenie, czasem okryte śniegiem drzewa. Mężczyzna całkowicie skupił się najeździe. W pewnej chwili samochodem zarzuciło, lecz zapanował nad nim szybko. Na widok jakiejś posesji mruknął z zadowoleniem i skręcił w uliczkę biegnącą wzdłuż ogrodzenia. Jechali nią krótko aż do następnego domu, który stał kilkaset jardów dalej, na skraju jodłowego zagajnika. Był mniejszy niż pierwszy, zbudowany z szarego kamienia. Stał przed nim samochód.

- Zostajesz tutaj - warknął i nawet nie obejrzawszy się na Clare, wysiadł i poszedł szybko w kierunku domu.

Drzwi były otwarte. Otworzył je i widząc, że w korytarzu na piętrze pali się światło, wbiegł po schodach.

- Pani Murray!

Była w pokoju ojca i powitała go z widoczną ulgą.

- Chwała Bogu, że pan przyjechał. Był nasz doktor, zostawił leki - powiedziała, sięgając po swoje palto.

Ojciec leżał w łóżku. Spał.

- Jak on się czuje? - zapytał Jack, gdy wyszli na korytarz. Pani Murray markotnie pokręciła głową.

- Niestety, bardzo kiepsko. Ma pan tu numer telefonu lekarza. Będzie mógł powiedzieć więcej niż ja, chociaż może być trudno uchwytny. Wszystkich w okolicy powaliła ta grypa.

- Pani bliscy też chorują?

- Och... Są młodzi i silni, wyzdrowieją, ale pański ojciec... - Umilkła zmieszana.

Dopiero teraz, widząc, jak zareagowała, Jack uzmysłowił sobie, co obawiała się mu powiedzieć.

- To aż tak z nim źle? - zapytał nieswoim głosem, z nadzieją, że mimo wszystko pani Murray zaprzeczy. Jednakże kiwnęła tylko głową i wyprzedzając go, zaczęła schodzić po schodach. - Odwiozę panią. - Próbował oswoić się z przerażającą myślą, której nie potrafił przyjąć do wiadomości.

- Nie, nie, dziękuję. Przyjechałam samochodem. - Wyjrzała przez okno. - Będzie pan miał co robić. Ulicę zaraz całkiem zasypie, a mój mąż jest zbyt chory, żeby wyprowadzić pług. Nikt nie ma siły do odśnieżania.

Wyszła, a Jack wrócił do pokoju ojca. Usiadł przy nim i ujął jego bezwładną dłoń. Po raz pierwszy zauważył starość ojca. Wiedział, że ma już swoje lata, ale właściwie nigdy

dotąd sobie tego tak do końca nie uświadamiał. Był teraz kredowoblady, oddychał z nienaturalnym wysiłkiem. Jack siedział przy nim, przygnieciony żalem i smutkiem. Dopiero po długim czasie przypomniał sobie o dziewczynie, którą zostawił w samochodzie.

Kobieta, którą Clare spostrzegła w drzwiach budynku, wsiadła szybko do zaparkowanego samochodu i odjechała. Padało coraz obficiej, a mężczyzna, którego wypatrywała przez gęstniejące płatki śniegu, nie wracał. W aucie robiło się coraz zimniej, doskwierał jej też głód, okropny, nie do zniesienia. Zwabiona ciepłem i schronieniem, które obiecywał dom, wysiadła i natychmiast zimny wiatr odebrał jej oddech, a buty okrył śnieg. Podbiegła do drzwi i odruchowo chciała zapukać, ale po chwili wahania po prostu nacisnęła klamkę i szybko weszła do środka, bojąc się, że ponownie narazi się na czyjś gniew. Była jednak zbyt zmarznięta i głodna, żeby nie podjąć ryzyka. Zamykając za sobą drzwi, rozejrzała się czujnie. Spodziewała się, że lada moment ktoś się pojawi i zażąda wyjaśnień, kim jest i co tutaj robi. Do holu z czarno-białą posadzką nie wyszedł jednak nikt. Pięknie urządzone wnętrze miało oryginalny, niezwykle wystrój i swoistą, nieco tajemniczą atmosferę. Zrobiło na niej wielkie wrażenie, bo też nigdy w życiu czegoś takiego nie widziała, zaraz jednak jej uwagę zwróciły otwarte drzwi w końcu korytarzyka. Dochodził stamtąd zapach czegoś, co się gotowało. Pikantna woń pociągnęła Clare za sobą. W jednej chwili znalazła się w kuchni.

Smakowity zapach wydobywał się z dużego garnka. Rosół? Gulasz? Jakaś zupa? Ledwie panując nad trzęsącymi się rękami, chwyciła głęboki talerz i nałożyła sobie olbrzymią porcję. Była taka wygłodniała, że nim w ogóle zainteresowała się czymkolwiek poza jedzeniem, pochłonęła trzy dalsze dokładki.

Kuchnia była ogromna, jasna i cudownie ciepła. Podobnie jak w holu, tak i tutaj zadbano o wyszukany wystrój, odbiegający od zwykłej użyteczności. Zamiast prostych, standardowych rozwiązań, jakie powszechnie spotyka się w kuchniach, dominowały tu wystylizowane kształty o giętych liniach. Krzesła przy stole miały wysokie oparcia, o które można nawet było oprzeć głowę. Przy jednej ze ścian stał duży kredens. Półki wypełniała ceramika w żywych, jasnych kolorach - pomarańczowym, żółtym i ciemnoniebieskim. W cieple tego barwnego, przyjaznego człowiekowi wnętrza Clare poczuła, że i na jej blade policzki wypływa rumieniec. Spojrzała na talerz i z poczuciem winy zajrzała do garnka. Została w nim zaledwie czwarta część potrawy. Czyżby wyjadła coś, co było przeznaczone dla całej rodziny?



Zaczęła się też zastanawiać, gdzie podział się kierowca, gdy usłyszała odgłos zamykanych drzwi i czyjeś szybkie kroki na schodach. Nerwowo wybiegła do holu. Zobaczył ją na zakręcie schodów i na moment przystanął zaskoczony. Nie zdążył się jej wcześniej lepiej przyjrzeć, a teraz był zbyt zdenerwowany, żeby mieć do tego głowę. Wiedział jedno: ta dziewczyna to problem, kłopot, z którym, zwłaszcza w obecnej sytuacji, nie miał ochoty się biedzić.

- Kazałem ci czekać w samochodzie - powiedział z irytacją.

- Było mi zimno.

Zauważył, że w dalszym ciągu ma na sobie kurtkę, brudną i wyszarzała, podobnie jak dżinsy, których widok sprawił, że początkowo wziął ją za chłopca. Zszedł do holu i krzywiąc się z niesmakiem, zapytał:

- Dawno uciekłaś?

Trudno było zaprzeczyć, że jest na gigantcie, ale nie widziała powodu, dla którego miałaby się przed nim tłumaczyć, toteż nie odpowiedziała.

- Ale jakieś imię to chyba masz? - zainteresował się.

- Tak. Clare - odpowiedziała po chwili wahania. Zaskoczyła go. Sądził, że jeśli w ogóle odpowie, to poda jakieś bardziej pospolite imię. Chyba że je sobie na poczekaniu wymyśliła. Zapewne tak właśnie było.

- Clare powiadasz - powtórzył szorstko. - A dalej?

- Smith - rzuciła nieco wojowniczo, jakby uraził ją jego ton, a wtedy spojrzał jej prosto w twarz. Zobaczył bezbronne orzechowe oczy i ze złością wszedł do kuchni.

- Wiesz, że będziesz musiała powiedzieć, kim naprawdę jesteś. Jeśli nie mnie, to policji... No, no, widzę, że poczułaś się jak u siebie - dodał z ironią, spostrzegając talerz na stole.

- Przepraszam, byłam głodna. Zajrzał do garnka.

- Równie dobrze możesz to zjeść do samego końca. Nie trzeba jej było o to prosić.

Natychmiast nałożyła sobie nową porcję, ale zapytała:

- A pan nie chce? To bardzo smaczne...

- Dziękuję. Zrobię sobie tylko kawę. - Spojrzał na nią zaskoczony kulturalnym tonem jej głosu. Wyobrażał sobie dotąd, że pochodzi z kompletnych dołów. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia dwa - skłamała.

- I ja mam w to uwierzyć? - Parsknął zniecierpliwiony i z czajnikiem w ręku odwrócił się do niej. Dopiero teraz zauważył, że jest bardzo szczupła, blada i ma podkrążone oczy. Wyglądała jak sierota wyrzucona na śnieg. - Wyglądasz na czternaście.

- Ale mam dwadzieścia dwa! - powiedziała gwałtownie.

- No, niech będzie... dwadzieścia - opuściła, widząc, że jej nie wierzy, chociaż i tak kłamała, ponieważ naprawdę miała dziewiętnaście lat.

Przeniosła talerz na stół, a on po paru minutach usiadł z kawą naprzeciw niej.

- Na diabła mi tu teraz jesteś potrzebna - powiedział niechętnie. - Na piętrze leży mój ojciec. On... - Umilkł, czując, że nie jest w stanie wypowiedzieć słowa „umiera”.

- Jest bardzo chory, nie mogę go zostawić. Zadzwoń na posterunek... Niech sami po ciebie przyjadą. - Zauważył, że jej palce zacisnęły się na łyżce, ale nie odezwała się ani nie popatrzyła na niego. - Oczywiście byłoby znacznie prościej, gdybyś mi

powiedziała, kim jesteś, i gdyby zabrali cię rodzice. Na pewno bardzo się o ciebie martwią i...

- Nie mam rodziców.

Spojrzał na jej napiętą twarz, zastanawiając się, czy znowu kłamie.

- Tak czy owak jest chyba ktoś, kto...

- Nikogo takiego nie ma.

- Słuchaj - powiedział, czując, że ogarnia go jeszcze większa złość. - Nie mam czasu na zabawę. Wybieraj - rodzice, opiekun, kurator czy cokolwiek albo policja. Co wolisz?

Clare podniosła umęczony wzrok.

- Policja się mną nie zajmie. Jestem pełnoletnia i mam prawo żyć, jak chcę i gdzie mi się podoba. Nie mogą mnie zmusić do powrotu.

- Przyznajesz zatem, że masz gdzie wrócić. - Wstał i zaraz dodał: - A z całą pewnością nie zostaniesz tutaj.

Wyszedł do samochodu po bagaż i płaszcz, a także po komórkowy telefon. Wiedział, że ojciec nie zgodził się zainstalować w tym domu aparatu, podobnie jak nie chciał mieć telewizora. Postawił walizkę w holu, wszedł do pełnego półek z książkami gabinetu i stamtąd zatelefonował pod numer, który zostawiła mu pani Murray. Dopiero po kilku próbach uzyskał połączenie. Lekarz przedstawił sytuację bardziej szczegółowo, ale ostateczna konkluzja była ta sama - ojciec umierał, nie można już było nic zrobić.

- On o tym wie - dodał. - Wymusił na mnie, żebym powiedział mu całą prawdę, kiedy chciałem go zabrać do szpitala. Stwierdził, że pragnie umrzeć we własnym domu.

- Czy odczuwa ból?

- Nie. Uśmierza go lek, który zostawiłem. Teraz to tylko kwestia czasu.

- Ile mu zostało? - zapytał zdławionym głosem Jack.

- Trudno powiedzieć. Parę dni... Może tydzień. Będę przyjeżdżał najczęściej, jak się da, ale proszę mnie zrozumieć, mamy epidemię grypy. Pobędzie pan przy ojcu, czy mam się postarać o pielęgniarkę?

- Nie trzeba. Zostanę, dopóki będzie mnie potrzebował.

Podał lekarzowi numer swojego komórkowego telefonu i przerwał połączenie. Przez długą chwilę patrzył tępo w ścianę, po czym podniósł się i zatelefonował na miejscową komendę. Kiedy wyjaśnił o co chodzi, powiedziano mu, że w chwili obecnej nie ma się kto zająć dziewczyną, bo połowa ludzi choruje na grypę, i doradzono, żeby po prostu kazał jej się wynosić.

- W taką zawieję?

Niemal widział, jak policjant wzrusza ramionami.

- Ale co my właściwie moglibyśmy w tej sprawie zrobić poza nakłanianiem tej pani, żeby wróciła do domu? Chyba że chciałby pan wnieść sprawę o włamanie się do samochodu... Podać panu nazwisko? Sprawdzimy ją w kartotece osób zaginionych. Może znajdzie się adres.

- Macie po prostu przyjechać i zabrać ją stąd jak najszybciej - odpowiedział ze złością i wyłączył telefon.

Wrócił do kuchni i zastał Clare przy zmywaniu. Szorowała właśnie garnek, którego zawartość wyjadła do samiutkiego końca. Chociaż zdjęła kurtkę, trudno się było zorientować, jaką ma figurę, gdyż kryły ją warstwy swetrów założonych na cebulkę. Kiedy wszedł, zwróciła ku niemu czujne, orzechowe oczy. W innych okolicznościach ogarnęłoby go pewnie współczucie, byłoby mu jej żal. Ale nie teraz. Myślał wyłącznie o dniach, które nadejdą, i o opiece nad ojcem.

- Możesz tu zostać do jutra - oświadczył niechętnym tonem. - Aż do rana nikt z policji nie może po ciebie przyjechać.

Słyszając to, Clare uspokoiła się nieco, ale pomyślała, że być może to jeszcze nie koniec kłopotów. Miała zostać sama na sam z tym człowiekiem. Chociaż... Raptem uświadomiła sobie, że nie ma się czego bać. Był zbyt przejęty chorym ojcem, żeby mogły mu przyjść do głowy jakieś niecne zamiary.

- Chodź, pokażę ci, gdzie się możesz przespać. Poszła za nim na górę. Poręcz schodów miała tę samą płynną linię i ornamentykę, co większość mebli. Przypominała smukłą, giętką lilię.

- Będę w sąsiednim pokoju. A ty - otworzył następne drzwi - tutaj. Łóżko będziesz musiała pościelić sobie sama. Kołdrę i resztę znajdziesz w szafce przy schodach. A łazienka jest tam.

Miał już przejść do pokoju ojca, gdy powiedziała szybko:

- Czy... czy mogę się wykapać?

- Naturalnie. - Zdziwiło go, że pyta.

- I jeszcze jedno... Pan wie, jak się nazywam, ale ja... nie znam pańskiego nazwiska. Jack zaśmiał się ironicznie.

- Tyle wiem, że przedstawiłaś się, jak chciałaś.

Po kilku godzinach snu w samochodzie, najedzona i nie zziębnięta po raz pierwszy od tygodni, pewna, że ma gdzie przespać najbliższą noc, Clare zdobyła się na lekki ton:

- Kiedy się zaczyna nowe życie, nazwisko też może być nowe.

- Na przykład Smith? Oryginalniejszego nie mogłaś wymyślić?

Uśmiechnęła się i z pewnym zaskoczeniem zauważył w jej wymizerowanej twarzy ślad dużej urody. Nie wiadomo dlaczego zezłościło go to jeszcze bardziej.

- Nazywam się Straker - burknął szorstko. - Jack Straker. Słuchaj, jestem skazany na twoją obecność do jutra rana, ale chciałbym, żebyś mi zeszła z oczu. Nie mam czasu się tobą zajmować. Zrozumiano?

Zaczerwieniła się, dotknięta jawną odprawą.

- Tak - odpowiedziała sztywno. - Przepraszam. Kiwnął głową i poszedł do ojca.

Przesiedziała w kąpieli chyba ponad dwie godziny. Możliwość umycia włosów i wykapania się w gorącej wodzie sprawiła jej istną rozkosz. Od kiedy opuściła to coś, co Straker nazwał „jej domem”, a o czym ona sama myślała jak o czyścicu, a następnie, gdy skończyły się pieniądze, tani hotelik, starała się zachować higienę, myjąc się w publicznych damskich toaletach. Zmieniała wtedy również bieliznę i ubranie, które razem z innymi rzeczami nosiła w plecaku. Jednakże, ku jej najwyższej rozpacz, plecak ten skradziono jej pewnej nocy, kiedy spała skulona na ławce w parku. Od tej pory pozostało jej tylko to, co miała na sobie.

Nie chcąc wkładać brudnych łachów na tak cudownie czyste ciało, sięgnęła po płaszcz kąpielowy wiszący na drzwiach łazienki. Wytarła włosy prawie do sucha, lecz nie miała ich czym rozczesać, utworzyły więc ciemną, zmierzwioną burzę wokół głowy. Zebrała wszystkie swoje ubrania i boszo zeszła do kuchni, gdzie wrzuciła cały kłęb do pralki automatycznej i włączyła ją. Z szybkiej inspekcji szafek i zamrażarki wynikało, że dom jest dobrze zaopatrzonej w żywność, toteż w poczuciu winy za zjedzenie całego gulaszu postanowiła upitrasić coś innego.

Starszy pan Straker obudził się wreszcie. Widząc syna, uśmiechnął się i poszukał jego ręki. Jack ścisnął mu mocno dłoń. Nie mówili nic; słowa były tu zbędne. Obaj wiedzieli, dlaczego przyjechał i że będą to ich ostatnie wspólne dni.

W kuchni aż furczało. Kiedy Jack zszedł po wodę dla ojca, zastał tam Clare w płaszczu kąpielowym. Mieszała zupę. Szumiała pralka, a na kuchni błyszczały garnki.

- Pomyślałam, że zgłodnieje pan do południa - wyjaśniła, rumieniąc się lekko. - Zrobiłam więc coś na lunch. Pójdę do siebie, kiedy będzie pan jadł - dodała pospiesznie, pamiętając o tym, że ma mu nie wchodzić w drogę.

W jej wyglądzie nastąpiła taka zmiana, że Jack zaniemówił. Z puszystymi włosami i zaróżowionymi policzkami wydała mu się zaskakująco ponętna, niemal piękna.

- Nie masz nic na nogach - wymruczał niepewnie, nie przygotowany na to, że mogłaby wyglądać choćby po ludzku, a już na pewno nie tak ślicznie.

- Mam tylko jedne buty, a teraz są zupełnie rozciapane.

- A co z ubraniem?

Ruchem głowy wskazała pralkę.

- To twój cały dobytek?

Clare zastygła. Oczywiście, że cały! Po co pytać? Przecież widział.

- Gdybym wiedziała, że się tu zatrzymam - powiedziała kwaśno - przywiozłabym walizkę ciuchów od Armaniego.

Od razu pożałowała swoich popędliwych słów. Przecież to nie z jego winy znalazła się tutaj i zawracała mu sobą głowę. Myślała, że zareaguje gniewem, ale tylko roześmiał się szorstko i nic nie mówiąc, wyszedł. Wrócił z parą grubych wełnianych skarpet.

- Masz. - Podał je Clare. - Będzie ci w nich cieplej.

Z jego strony był to zwykły, prawdopodobnie nic nie znaczący gest, ale tak dawno już nikt nie okazał jej choćby odrobiny serca, że w oczach stanęły jej łzy.

- Dziękuję - powiedziała rozczulona.

Wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby nalać wody.

- Jest zupa. Może pański ojciec zjadłby trochę...

- Nalej.

Poszedł na górę z tacą i wrócił dopiero po przeszło godzinie. Do tego czasu ubrania Clare wyschły i mogła je znowu włożyć. Podała lunch i zostawiła go samego. Kiedy jadł, poszła rozejrzeć się po domu. Wszystkie pomieszczenia wypełnione były pięknymi, dekoracyjnymi meblami i im dłużej się im przyglądała, tym większe robiły na niej wrażenie. Oglądała właśnie ładną lampę w kształcie trzech

splecionych tulipanów, stojącą w pokoju, który był najpewniej salonikiem, gdy wszedł Jack.

- Nigdy nie widziałam takich mebli... - zaczęła się tłumaczyć.

- To art deco i secesja - wyjaśnił. - Pasja mojego ojca. Zbierał te rzeczy niemal przez całe życie. Jeśli cię to interesuje, w gabinecie znajdziesz masę książek na ten temat - dodał i poszedł z powrotem na górę.

Ojciec przebudził się. Przyjął lekarstwo i zaraz znowu zasnął. Oddychał ciężko, boleśnie. Jack przyniósł sobie poduszkę i kołdrę z pokoju, który pani Murray przygotowała dla niego, i spędził noc na samotnym czuwaniu.

Rano odezwał się telefon. Pani Murray zawiadamiała, że nie da rady przyjechać, bo ulicę całkowicie zasypał śnieg. Później zadzwonił ktoś z komisariatu, mówiąc, że główna szosa jest nieprzejezdna, w związku z czym nie wiedzą, kiedy będą mogli się do niego dostać. A zatem skazany był na towarzystwo Clare nie wiadomo jak długo. Spał niewiele. Był wysoki i kozetka okazała się za krótka. Całą poprzednią noc wypełniła jazda. Był nieludzko zmęczony i wściekły na los, który wydał wyrok na ojca, na nieznaną dziewczynę za to, że wpakowała mu się do samochodu, na śnieg, a nawet - o Boże! - na ojca za to, że nie dbał o siebie należycie i pozwolił sobie tak ciężko zachorować.

Dni płynęły powoli, jeden podobny do drugiego. Niebo było tak zaciągnięte chmurami, że Jack czasami nie wiedział już, czy jest dzień, czy noc. Zasypiał tylko wtedy, gdy ojciec spał, a i wówczas budził się bez przerwy, nasłuchując jego oddechu. Niekiedy ojciec czuł się nieco lepiej i był w stanie mówić, chociaż sprawiało mu to widoczną trudność. Chwile te były dla Jacka czymś niezwykle cennym. Stanowiły rekompensatę za wiele bezpowrotnie straconych możliwości, za wymuszoną przez życie rozłąkę. Lekarz telefonował codziennie, ale niewiele mógł pomóc czy doradzić. Drogi były nieprzejezdne, przepisane przez niego lekarstwa mieli w domu. Nic więcej nie dało się zrobić.

Tylko o jedzenie nie musiał się martwić. Przygotowywanie posiłków, zmywanie i sprzątanie wzięła na siebie Clare. Kiedy schodził na dół, zastawał ją albo przy jakiejś pracy, którą zajmowała się z wyraźną ochotą, albo w fotelu, w kuchni, zaczytaną w książkach o sztuce secesji. Nie rozmawiali ze sobą wiele. Nie interesowała go, ale był wdzięczny, że przejęła na swoje barki tyle prozaicznych obowiązków.

Upłynął już prawie tydzień, kiedy pewnego ranka weszła do kuchni, żeby sprzątnąć ze stołu po śniadaniu, i zastała go śpiącego w fotelu. Zawsze ją onieśmielał, ale teraz wyglądał tak bezbrinnie! Podeszła bliżej i po raz pierwszy przyjrzała mu się dokładniej. Miał pociągłą twarz z mocno zarysowanym podbródkiem, szerokie czoło i proste, ciemne brwi. Tym, co zauważało się w nim najpierw, nie były jednak wyraziste rysy i dobry wygląd, ale raczej zdecydowanie, coś, co od razu wskazywało na mocny charakter. Można było nawet odnieść wrażenie, że irytowałyby go świadomość, że może się komuś podobać ze względu na walory zewnętrzne. Na prawdę liczyła się wyłącznie osobowość.

Obserwując go, była pewna, że gdyby poznali się w innych okolicznościach, zawróciłby jej w głowie. Młodym kobietom często podoba się i imponuje w

mężczyźnie aura pewnej bezwzględności i siły. Pomyślała, że chyba powinna go obudzić.

- Panie Straker - powiedziała i powtórzyła to samo głośniejszym głosem. Nawet nie mrugnęła. Po chwili wahania uznała, że lepiej pozwolić mu spać i postanowiła zastąpić go przy chorym. Zobaczyła wtedy ojca Jacka po raz pierwszy, ale widząc jego bladość i charakterystyczne zapadnięcie, od razu zrozumiała, że jest to człowiek umierający. Dziesięć lat temu zaprowadzono ją do umierającej babki. Wyglądała tak samo. Przyśiadłszy na krześle, na którym Jack spędził już tyle godzin, Clare cicho czuwała nad śpiącym.

Zanim Jack się obudził, upłynęła co najmniej godzina. Ocknął się i natychmiast pobiegł na górę. Widząc Clare przy łóżku ojca, chwycił ją z wściekłością za rękę i wyciągnął na korytarz.

- Dlaczego tu siedzisz?

- Usnął pan, więc...

- Wołał? Czemu mnie nie obudziłaś?

- Był pan taki zmęczony... Pomyślałam, że...

- A kto cię, do diabła, prosił o myślenie?! Nie wolno ci tu w ogóle wchodzić. Nie chcę, żeby się obudził i zamiast mnie zobaczył kogoś obcego. Jasne?

- Jasne. - Zaczerwieniła się i uwalniając szarpnięciem rękę, ruszyła w stronę schodów.

Widząc, że kuli ramiona, zawołał za nią, jakby w rozpacz chciał coś wyjaśnić, przeprosić, ale zbiegła już na dół. Sen trochę go pokrzepił. Przez resztę dnia w miarę trzeźwo czuwał przy łóżku. Po południu ojciec zaczął oddychać jakby odrobinę lżej. Jack patrzył na niego z nadzieją, myśląc, że może mimo wszystko wyzdrowieje. Pod wieczór zaczął go morzyć sen. Powieki same mu się zamykały, zszedł więc do kuchni, żeby zrobić sobie drinka. Clare, czytając w swoim pokoju, słyszała, jak schodził po schodach i jak po jakichś dziesięciu minutach wrócił. Nagle dobiegł do niej przeraźliwy krzyk.

- Boże! Nie, nie!

Zerwała się i wybiegła na korytarz. Jack wychodził powoli z pokoju ojca. Był przeraźliwie błydy.

- Co jest?! Co się stało... - Zrozumiała w jednej sekundzie i ogarnęła ją fala współczucia.

- Tato nie żyje - powiedział nieswoim głosem.

Wyciągnęła do niego rękę, ale nawet tego nie zauważył. Otarł się o nią i zszedł po schodach, po czym wszedł do gabinetu, gdzie zostawił swój telefon. Chociaż liczył się ze śmiercią ojca, szok okazał się tak wielki, że Jack nie był w stanie przyjąć do wiadomości tego, co się stało. Czuł się tak, jakby część jego mózgu przestała pracować, i potrafił skupić się wyłącznie na sprawach praktycznych. Drżącymi palcami wystukał numer lekarza i powiedział, co się stało.

- We wsi jest teraz pług śnieżny - usłyszał. - Zaraz poproszę, żeby wjechał w waszą uliczkę i pojedzie za nim karetką. Duża część drogi jest już oczyszczona, więc nie powinno to trwać długo.

Minęły jednak ponad trzy godziny, nim usłyszeli hałas na dworze i zobaczyli światła pojazdów. Przez cały ten czas Jack chodził tam i z powrotem po holu w stanie absolutnego umysłowego odrętwienia, Clare natomiast kręciła się po kuchni, wyczuwając, że chce być teraz sam. Lekarz, który wyglądał na bardzo zmęczonego, załatwił szybko formalności. Zmarłego zabrała karetka i nagle Jack i Clare zostali znowu sami. Dom wypełniła martwa cisza.

Dopiero patrząc na puste łóżko, Jack poczuł, że puszczają w nim jakieś żelazne okowy, które przez te wszystkie godziny nie pozwalały mu przyjąć do wiadomości, iż ojciec umarł. Powstrzymywane do tej pory uczucia kompletnie go przywalały. Zalała go rozpacz, przed którą nie umiał się bronić. Wyszedł z pokoju na miękkich nogach i przytrzymał się futryny drzwi, chowając twarz na ramieniu. Widząc, w jakim jest stanie, Clare wzięła go pod rękę. Ciężko oparł się na niej.

- Nie było mnie! - krzyknął łamiącym się głosem. Poczucie winy i gniew zmieniły się w rozpacz. - Tyle godzin tu przesiedziałem, a kiedy odchodził, kiedy mnie potrzebował, to mnie przy nim nie było! - Odsunął się i oparł głowę o ścianę, uderzając w nią pięściami. - Tyle mu jeszcze chciałem powiedzieć, a nie powiedziałem nawet żegnaj.

- Może umarł we śnie - powiedziała łagodnie. Zamknęła drzwi i próbowała odciągnąć Jacka. Pozwolił się poprowadzić. Dygotał cały i wiedziała, że jest to reakcja wynikająca tyleż z rozpacz, co z wyczerpania organizmu. - Jest pan bardzo zmęczony, trzeba trochę pospać.

Łóżko w jego pokoju było nie posłane, więc zaprowadziła go na swoje, posadziła, pochyliła się, żeby zdjąć mu buty, i próbowała popchnąć go na poduszkę. Zerwał się jednak jak oparzony i zaczął chodzić po pokoiku, jakby był w więziennej celi. Nagle znowu usiadł i objął rękami głowę.

Słowa nie dałyby w tej chwili nic, było na nie za wcześnie. Clare usiadła więc obok i objęła go za ramiona. Drżał, nie potrafiąc zapanować nad rozpaczą i potwornym zmęczeniem, które nie pozwalało jej ukryć. W tym, że tak ze sobą siedzieli, nie widziała nic niestosownego. Był dla niej kimś zupełnie obcym, wiedziała jednak, co przeżywał, rozumiała jego straszliwy ból. Podtrzymywała go tak długo, aż w końcu przestał dygotać. Otarł oczy wierzchem dłoni i podniósł głowę. Chciała się odsunąć, ale odwrócił się do niej i ciemnymi, wciąż zszokowanymi oczami przytrzymał jej spojrzenie. Miała na sobie starą męską koszulę, którą znalazła w szufladzie. Była za duża i sięgała jej aż do kolan. Jack wpatrywał się w nią z napięciem. Dotknął kołnierzyka.

- Należała do niego.

- Tak. - Chciała powiedzieć „przepraszam”, myśląc, że poczuł się urażony, ale słowa uwięzły jej w gardle, gdy spojrzała mu w oczy i pojęła, że chodzi o coś więcej. Powoli przesunął palce w dół, na piersi.

- Jesteś żywa - powiedział chrapliwie. - Taka żywa. Wstrzymała oddech. Wiedziała, czego chciał i dlaczego.

Śmierć ojca obnażyła w nim jego własną bezbronność i uświadomiła mu, jaką kruchą wartością jest życie. Potrzebował teraz być z kimś blisko, bardzo blisko, żeby uwierzyć, że życie trwa nadal. Przez długą chwilę patrzyła w szare oczy, które niemal obsesyjnie trzymały jej wzrok na uwięzi, a potem wstała, powoli podciągnęła

do góry koszulę i zdjęła ją przez głowę, stając przed nim nago w całej krasie młodości.

Wyrwał mu się wtedy jakiś nieprzytomny jęk, prawie skowyt. Wyciągnął rękę, by drżącymi palcami dotknąć jej talii, ud...

- Chcesz tego? O Boże! Jesteś pewna?

W odpowiedzi pochyliła się nad nim i delikatnie musnęła ustami jego wargi. Drżenie jego ciała było tak silne, że wyczuwała je nawet przy tym leciutkim dotknięciu.

Przez moment zachowywał się biernie, ale naraz poderwał się z łóżka, przytrzymał jej głowę i zachłannie objął jej usta wargami. Nie przerywając pocałunku, ściągnął z siebie ubranie i po chwili on również był nagi. Dotykał jej piersi, a kiedy spadły na nie pocałunki, wygięła szyję i odchyliła się do tyłu, czując, że go pragnie. Pieścił ją, na wpół leżącą w jego ramionach, rozkoszując się jej żywym ciepłem i aksamitną miękkością skóry.

Takiego pożądania nie doświadczył nigdy. Pragnął jej szaleńczo, aż do bólu, który przenikał całe jego jestestwo. Pragnął się zapomnieć, oderwać od obrazów kłębiących się w jego głowie, doświadczyć radości, pewności, jaką daje seksualne spełnienie, i uwierzyć, że życie wciąż może być piękne. Potrzebował tego tak bardzo, że nie liczył się nic więcej - ani sumienie, ani konwenanse, ani nawet zdrowy rozsądek. Czuł, że w tym młodym, uległym ciele, które miał w rękach, znajdzie ucieczkę i schronienie przed ścigającymi go demonami winy i rozpacz.

Gończącymi, niepewnymi dłońmi przyciągnął ją mocno do siebie, żeby poczuć ją całą, rozgrzaną i żywą. Kiedy podłożył jej ręce pod pośladki, wyczuła jego naprężoną męskość i wstrzymała oddech. Podnieciło go to nieprzytomnie. Zanurzył dłoń w długich ciemnych włosach i ponownie objął wargami jej usta. Ona też była teraz podniecona. Mówił mu o tym żar jej skóry, urywany oddech, dotyk jej rąk nie próżnujących w pieszczocie...

Ach... Z okrzykiem zachwyty położył ją na łóżku. Ciemne włosy Clare rozpostarły się jak wachlarz na białej poduszce. Widział pod sobą twarz wyostrzoną przez pożądanie, lecz chciał od niej serca, gdyż tylko w nim mógł odnaleźć upragniony spokój i spełnienie.

No więc wziął tę dziewczynę, pchnięty ku niej rozpaczliwym pożądaniem. Było to nie tyle czule zbliżenie, co akt wynikły z potrzeby przewyciężenia odwiecznego lęku przed śmiertelnością. W zapamiętaniu i podnieceniu miał ochotę wykrzyczeć z siebie tylko jedno - że jest żywy. Żywy!

Usnął potem niemal od razu i spał długo i głęboko w objęciach Clare na wąskim łóżku. Po paru godzinach przebudził się. Był jeszcze zbyt wyczerpany, żeby myśleć jasno, uświadamiał sobie jednak, że leży w łóżku i że w pokoju jest ciemno. Poczł przy sobie kobietę i nie otwierając oczu, przytulił się do niej. Pocałowała go, wymruczała jego imię, popieściła, a potem, odepchnąwszy go na plecy... zdobyła. Krzyk jej rozkoszy wypełnił pokój.

Kiedy ocknął się po raz drugi, miał takie odczucie, jakby obudził go właśnie bezmierny spokój. Był sam, a przez okno... wpadało słońce! Jeszcze przez pewien czas leżał wypełniony świadomością, że się z kimś kochał i że jest mu cudownie dobrze. Niedługo potem, z bezwzględną pewnością, wróciła mu pamięć. Ojciec nie



zył, a on przespał się z jakąś Clare, dziewczyną, która co prawda sama mu wpadła w ręce, ale tak czy owak miała prawo czuć się w jego obecności bezpiecznie. W pierwszej chwili zdenerwował się nawet nie dlatego, że zrobił to tuż po śmierci ojca - wiedział, że staruszek nie miałby o to pretensji, co najwyżej by się uśmieł.

Przeraziła go natomiast myśl, że być może ją zniewolił. Zaraz jednak przypomniał sobie, że uczestniczyła we wszystkim z wielką ochotą, i poczucie winy osłabło. Miał wszakże wyrzuty sumienia. Nic go nie usprawiedliwiało.

Nie był jednak człowiekiem skłonny roztrząsać w nieskończoność to, czego nie dało się cofnąć. Wstał, poszedł do łazienki, ubrał się i zbiegł na dół.

Clare krzątała się po kuchni w nastroju niesłychanego podniecenia. Miniona noc była dla niej czymś niezwykłym, odkryciem, jakim cudem może być seks. Czuła się wspaniale i była bardzo, bardzo szczęśliwa. Do tej pory nie wiedziała, że seks może aż tak uskrzydlać, sprawić, że ma się ochotę śmiać bez wyraźnej przyczyny, śpiewać i tańczyć. Nawet gdyby tak pięknie nie świeciło słońce, i tak byłby to najcudowniejszy dzień.

Kiedy Jack wreszcie przyszedł, podbiegła do niego, szukając w jego twarzy uśmiechu, w którym wyraziłaby się ich wspólna tajemnica. Nie uśmiechnął się jednak ani nie wziął jej w ramiona, jak by pragnęła, a zamiast tego delikatnie przesunął ją na bok.

- Muszę zatelefonować.

- Oczywiście. - Cofnęła się, ale gdy chciał wyjść, zawołała impulsywnie: - Jack?!

- Porozmawiamy później. Za jakieś pół godziny. OK? - powiedział z niewyraźną miną i poszedł do gabinetu.

Kiwnęła głową, usatysfakcjonowana. Nie było go dłużej, niż zapowiedział. Nim wrócił, minęła prawie godzina. Przypuszczała, że zawiadamał rodzinę o śmierci swego ojca i zastanawiała się, kiedy będzie pogrzeb. Wydawało się jej czymś oczywistym, że do tego czasu Jack pozostanie tutaj, a zatem będą mogli pobyć jeszcze ze sobą tylko we dwoje. Nadzieje te przysły, gdy powiedział:

- Obdzwońłem krewnych; przyjadą najszybciej jak się da... - Umilkł i dodał ciężko: -

A co do dzisiejszej nocy... Wiem, że powinienem cię przeprosić, ale wybaczone, nie potrafię żałować, że to się stało. Pragnąłem ciebie i zdaje mi się, że ty mnie też... Jednakże fakt pozostaje faktem. Wykorzystałem twoją obecność. Nie powinienem być sobie na to pozwolić. Ale... - wzruszył ramionami - stało się i jestem wdzięczny, że okazałaś się taka... miła. - Spojrzenie jego szarych oczu zatrzymało się na jej twarzy. - Chciałbym, żebyś coś ode mnie przyjęła. Powinno ci to pomóc stanąć na nogi. - Wyciągnął w jej kierunku złożony papier.

Clare nie wzięła go. Wiedziała, że to czek. Dusząc się z gniewu, podniosła się z krzesła tak gwałtownie, że aż się przewróciło.

- Co to?! Masz mnie za dziwkę? Przecież nie zrobiłam tego dla pieniędzy!

Jack wstał także. Obszedł stół i chwycił ją za rękę.

- Wiem. To nie jest zapłata.

- A co? - Roześmiała się gorzko.

- Po prostu upominek. Jak inaczej mógłbym ci podziękować?

Na tysiące sposobów, myślała z goryczą. Przytulając ją i mówiąc, że to było cudowne. Całując, uśmiechając się, dając do zrozumienia, że chciałby, żeby się to powtórzyło. Dzisiaj. Jutro. Że jest dla niego ważna. Tymczasem przyznał tylko, że jej pragnął. Nawinęła mu się, nie protestowała, więc się z nią przespał. Innymi słowy, wykorzystał ją, a teraz, po to, żeby pozbyć się wyrzutów sumienia, chciał za to zapłacić. Poczula się jak zero, a wszystko, co wydawało się jej takie cudowne, stało się nagle brudne i nikczemne.

- Żegnam pana, panie Straker - powiedziała ze ściągniętą twarzą. - Opuszczam ten dom. Natychmiast.

Jej duma i godność zaskoczyły go. Myślał, że przyjmie pieniądze z ulgą, jeśli nie z radością. Nie spodziewał się reakcji urażonej księżniczki. Na litość boską! Była bez grosza i pragnął jej jedynie pomóc, okazać wdzięczność w najpraktyczniejszy sposób. Nie chcąc, żeby robiła sceny, gdy poprosi ją o opuszczenie domu, zamówił jej już nawet taksówkę.

- Zamówiłem ci taksówkę - powiedział. - Pociągi kursują, więc poprosisz kierowcę, żeby cię zawiózł na najbliższą większą stację.

Patrzyła na niego kamiennym wzrokiem.

- Nie może się pan już doczekać, kiedy się mnie pozbędzie, co?

Jack milczał. Myślał o tym, jaka ładna jest w tym swoim gniewie. Bardzo nie chciał jej ranić, ale wiedział, że tak musiało się stać. Głosem pozbawionym wyrazu powiedział:

- Jedną z osób, które tutaj jada, jest moja żona. Dotrze tu prawdopodobnie już dziś.

Pociąg był prawie pusty. Siedząc przy oknie, Clare patrzyła niewidzącym wzrokiem na uciekający pejzaż. Śnieżne połacie ustąpiły wkrótce szatkownicom pól.

Przemykały bezlistne drzewa. Straker dał jej pieniądze na przejazd do Londynu. Musiała je przyjąć. Teraz zaś, w kieszeni kurtki, namacała czek, który próbował wręczyć jej wcześniej. Wystawił go na sumę, za którą dałoby się przeżyć całe wieki. Miała ochotę go podrzeć, ale tylko skończony dureń by to zrobił. Mogłaby sobie pozwolić na taki gest, gdyby istniał choćby cień szansy na to, że mimo wszystko będą razem, ale nie w sytuacji, gdy raz na zawsze ją odepchnął. Wyrzucił ze swego łóżka, ze swego życia.

Poczula pod powiekami piekące łzy, ale nie pozwoliła sobie się rozplakać. Czego zresztą się spodziewała? Chciał ją wyrzucić i wyrzucił, a jeśli coś się jej zamarzyło, to po prostu się oszukiwała. Musiała zapomnieć o tej nocy. O Jacku Strakerze. Czas zacząć nowe życie, myślała. Będzie prościej, jeśli w ogóle zapomni, że kiedykolwiek ktoś taki istniał.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Prowadzący aukcję opuścił młotek. Clare drgnęła i wróciła do rzeczywistości. Kiedy ogłoszono wysokość sumy, za jaką coś tam zlicytowano, szybko dołączyła się do oklasków. Ludzie okazali się bardzo hojni. Dobroczynność była w modzie.

Spostrzegła, że Jack podchodzi do jednej z kasjerek z czekiem w ręce. Zastanowiło

ją, co kupił. Była zbyt pochłonięta myślami, żeby to zauważyć, teraz jednak zależało jej przede wszystkim na tym, żeby wyjść możliwie jak najprędzej, nim udałoby mu się podejść.

W szatni był już tłok. Stała w kolejce, niecierpliwie przytupując, aż wreszcie odebrała swój płaszcz. Miała wychodzić, gdy zatrzymała ją dawna szkolna koleżanka, Tanya Beresford, która przybyła na aukcję w towarzystwie męża. zaproponowała, żeby w przyszłym tygodniu wybrały się razem na lunch. Clare przytaknęła i szybko pożegnała się, biegnąc do drzwi. Było już jednak za późno. Przy wyjściu czekał Jack. Miał zacięty, ponury wyraz twarzy. Zatrzymała się i zrobiła w tył zwrot.

- Znowu uciekasz? - syknął jadowicie. - Weszło ci to już chyba w nawyk.

- Nie twoja sprawa, jak się zachowuję.

- Ależ mylisz się. - Podszedł do niej i zamknął jej rękę w żelaznym uścisku. -

Wygląda na to, że musi mnie to obchodzić, i to bardzo. - Nie puszczając jej ani na sekundę, wyprowadził ją na zewnątrz, prosto do stojącego na krawężniku samochodu. Gdy szofer otworzył drzwiczki, prawie wepchnął ją na siedzenie.

- Zawsze jesteś taki apodyktyczny? - rzuciła z pretensją, świadoma, że parę osób przyglądało się scenie przy wyjściu i widziało, jak wsiadali do samochodu. Rodzynek dla porannej prasy, pomyślała z goryczą.

Straker nacisnął przycisk na konsoli przy swoim fotelu i w jednej chwili oddzieliła ich od kierowcy szyba. Miał nareszcie możliwość porozmawiać z nią w cztery oczy i chciał się zachować rozsądnie, ale nad wszystkim, co czuł, brał górę gniew. Jak mogła tak go oszukać!

- Próbowałem na wszystkie sposoby porozumieć się z tobą - powiedział. - Unikałaś kontaktu, więc nie miałem wyboru.

- Ale ja nie chcę z tobą rozmawiać. Bardzo proszę, zatrzymaj samochód. Wsiadam.

- Nic z tego, dobrze o tym wiesz, więc po co strzepić język.

Zaśmiała się lodowato.

- Naturalnie! Nie przypuszczam zresztą, żebyś kiedykolwiek brał pod uwagę czyjeś życzenia, poza własnymi oczywiście.

Jej gorycz poruszyła go i zdziwiła. Zrozumiał nagle, że będzie jeszcze trudniej, niż sądził.

- Jadłaś coś? - zapytał po chwili. - Może wybierzemy się gdzieś na kolację?

- Nie.

- Nie, jeśli chodzi o co?

Spojrzała wrogo.

- O wszystko. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Nie nawykł, żeby mówiono do niego tak szorstko.

- Nie za późno do tego doszłaś?

Zaczerwieniła się i odwróciła głowę do okna, nie chcąc, żeby przypominał tamtą noc. Zastanawiał się, jak to rozegrać. Jej rumieńce świadczyły o tym, że pamięć o tamtym zbliżeniu była w niej wciąż żywa. Dziwne. Przecież spędzili ze sobą tylko jedną noc... Minęło tyle lat... Może jednak była tej pamięci taka wierna dlatego, że właśnie wtedy poczęty został ich syn...

- Czemu mi nie powiedziałaś o istnieniu Toby'ego? - zapytał łagodnie i zauważył, że w jej pięknych orzechowych oczach o zielonkawym odcieniu od razu zapaliła się wrogość.

- Nic go z tobą nie łączy.

- A jednak... To jest zapisane w metryce.

- Nie miałaś prawa do niej zaglądać, wchodzić z butami w moje życie.

- A ty nie miałaś prawa ukrywać przede mną tego, że się urodził.

Clare zawahała się. Pomyślała, że uczyni wszystko, żeby się nie poznali.

- Szczerze mówiąc, przy wypisywaniu świadectwa urodzenia skłamałam. Nie wiedziałam, kto faktycznie jest jego ojcem. W tym okresie żyłam z dwoma... z paroma mężczyznami. Musiałam podać jakieś nazwisko, więc napisałam Straker, ot co. Ale Toby w żadnym wypadku nie jest twoim synem - dodała, żeby nie było wątpliwości.

Jak mogła się aż tak nie szanować, pomyślał w pierwszej chwili, ale zaraz zrozumiał, że wymyśliła to wszystko na poczekaniu, podejmując jeszcze raz rozpaczliwą próbę pozbycia się go.

- Daty się zgadzają - stwierdził lakonicznie. - A próba krwi wykaże, czy jestem, czy nie jestem jego ojcem.

- Nie pozwolę tknąć mego synka ani tobie, ani nikomu innemu - zapowiedziała z wściekłością.

- Sąd tego zażąda.

Samochód stanął w korku. Światła pobliskiego sklepu rozjaśniły wnętrze. Jack spostrzegł, że Clare jest bardzo spięta. Była blada, kurczowo zaciskała dłonie.

- Nie skrzywdzę Toby'ego - powiedział najbardziej przekonującym tonem, na jaki go było stać.

Podniosła wzrok.

- Zniszczysz mu życie! - krzyknęła. - Tak jak kiedyś mnie!

Ruszyli. Mimo urazy przepelniającej jej serce Clare nie potrafiła oprzeć się ciekawości.

- Co się stało, że tak długo nie sprzedałaś domu ojca?

- Nie sprzedaję go. Będę tam spędzał wakacje. Wycena mebli była mi potrzebna w związku z ubezpieczeniem. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, nie prosiłem nikogo, żebyś to właśnie ty ją przeprowadziła. Zwróciłem się jedynie do domu aukcyjnego, żeby mi polecił dobrego fachowca... Jeśli sobie przypominasz - dodał z pewną ironią - nie podałaś mi nigdy swego prawdziwego nazwiska.

A zatem tak było przeznaczone, pomyślała z głębokim smutkiem. Los wziął się na nią okrutnie i zadawał kolejny cios.

Aż do chwili gdy samochód zatrzymał się ostatecznie, nie podjęli już rozmowy.

Zaskoczona spostrzegła, że są przed budynkiem, w którym mieszkała. Jeśli jednak sądził, że go do siebie zaprosi, to chyba oszalał. Nacisnęła klamkę, ale szofer był pierwszy. Otworzył jej drzwi, a Jack, zamiast wysiąść po swojej stronie, wyskoczył za nią, znowu chwytając ją za rękę.

- Będę za godzinę - rzucił do kierowcy. Clare odwróciła się.

- Posłuchaj, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Już ci to mówiłam, ile razy mam powtarzać? Nie zamierzam z tobą rozmawiać. Chcesz ciągnąć ten kretyński proces, to trudno, twoja sprawa. Ale kategorycznie odmawiam jakichkolwiek dyskusji na ten temat.

- W takim razie będzie głupio, ponieważ nie ruszę się stąd, póki nie porozmawiamy. Możemy to zrobić albo tu, albo u ciebie, jak ci wygodniej.

- Odczep się, bo jak nie, to wsadzę cię do mamra za napaść.

Wzruszył ramionami.

- Uroczo jest mieć coś takiego w dokumentach. Twarz Clare ściągnęła się nagle i jakby zmalęła. Gdyby nie to, że zdecydowany był już na wszystko, byle dopiąć swego, byłby jej może nawet współczuł. Ale nie... Miał dosyć proszenia. Wydzwaniał do niej, pisał, chyba ze trzydzieści razy przyjeżdżał pod ten dom, ale za każdym razem odprawiała go z kwitkiem. Musiała zatem ponieść konsekwencje.

Samochód odjechał i przez parę chwil byli sami. Patrzyli na siebie wrogo. Żadne nie zamierzało ustąpić. Kiedy przed blok podjechały dwie taksówki, Jack wykorzystał sytuację.

- Chcesz, żeby twoi sąsiedzi widzieli, jak stoimy tu i się kłócimy?

Rzuciła mu nienawistne spojrzenie, ale podeszła do wejścia, nacisnęła guzik domofonu i spojrzała w kamerę. Drzwi zabrzęczały, pozwalając się otworzyć. Mieszkała na trzecim piętrze. Jack puścił jej rękę, lecz przez cały czas szedł czujnie tuż za nią, na wypadek gdyby próbowała mu się wymknąć.

Drzwi otworzył Jonesy - jak zwykle we właściwym momencie, nie za wcześnie i nie za późno, nie musiała więc korzystać z dzwonka. Widząc, że Jack jest mocno zaskoczony, odczuła złośliwą satysfakcję. Spodziewał się pewnie jakiejś młodej dziewczyny do dziecka albo niani, a z całą pewnością nie starego mężczyzny w podniszczonym, ale czystym ubraniu, który lustrował go teraz bacznym, krytycznym wzrokiem.

- No, co tam? - Clare uśmiechnęła się do Jonesy'ego. - Wszystko w porządku?

- Jak najbardziej, moja droga. Jak najbardziej. Patrzył wciąż na Jacka, ale nie przedstawiła ich sobie.

- Przepraszam cię na momencik. Ten... ten pan zaraz wychodzi.

Stary kiwnął głową i wyszedł do kuchni. Clare ruszyła do saloniku. Wpuściła Jacka i zamknęła drzwi.

- No więc... Czego chcesz?

Biła z niej wrogość. Słyszał ją w jej głosie, widział w oczach, w postawie, w całej drobnej sylwetce. Wyraźnie się go bała, ale nie przyjechał tutaj, żeby grozić. Żebrać jednak też nie zamierzał.

- Napiłbym się - powiedział zdawkowo. - Masz może whisky?

Na jej twarzy odbiło się wahanie. Nie chciała, żeby został tu choćby chwilę dłużej, niż to było konieczne. Nie miała ochoty okazać mu nawet odrobiny gościnności.

Podeszła jednak do kredensu i zaczęła przygotowywać drinka. Stała odwrócona plecami, toteż mógł się jej otwarcie przyjrzeć. Pamiętał ją z tamtej nocy. Była wówczas bardzo chuda, niemal zagłodzona, lecz w jej ciele odnalazł taki ogień i tyle namiętności, że aż to nim wtedy wstrząsnęło i do dziś tkwiło w pamięci. Teraz też

była szczupła, ale zaokrągliła się tam gdzie trzeba - być może dzięki urodzeniu dziecka. Czy jednak za tą chłodną maską, z jaką podawała mu teraz drinka, kryła się jeszcze dawna płomiennność?

- Bardzo się zmieniłaś od czasu, kiedy się poznaliśmy - powiedział. - Masz pewność siebie, poczucie niezależności, jesteś twarda... To pewnie dlatego, że musisz samotnie wychowywać Toby'ego. Gdybym wiedział, z całą pewnością...

- Z całą pewnością co? - przerwała szorstko. - Wypisałbyś mi czek?

- Z całą pewnością chciałbym ci pomóc na tyle, na ile bym mógł. Finansowo albo... Krótki śmiech Clare miał ostre, nieprzyjemne brzmienie.

- Nie pamiętasz? Dałeś mi wtedy czek. Sfinansowałeś więc wszystko z góry. Jack głośno wciągnął powietrze. A więc to tak! Prawda... Przypominał sobie niewyraźnie, jak się uniosła, gdy zaproponował jej pomoc. Myślał wtedy wyłącznie o śmierci ojca, o pogrzebie, ale tak, bezsprzecznie, czuł się winny za zbliżenie z tą jakąś nie znaną mu dziewczyną, która okazała się taka... chętna. Miał, jak to się mówi, moralnego kaca.

Może więc zaproponowanie jej wtedy pieniędzy było rzeczywiście próbą jakiegoś oczyszczenia się z winy. Zdumiewające jednak, że nawet po latach mówiła o tym z taką nienawiścią.

- Czy to dlatego nie zawiadomiłaś mnie o Tobym? - zapytał, jakby szukając do niej dojścia.

- Toby jest mój. Ty... Ty byłeś... kimś przypadkowym.

Celowo lekceważyła jego osobę. Zrobiłaby wszystko, żeby sobie poszedł, żeby wreszcie zakończyło się to wymuszone spotkanie. Bała się, że jeszcze chwila, a powie, że chciałby zobaczyć syna.

Zaśmiał się, odstawił szklanekę i podszedł do leżącej w kącie pokoju małej ciężaróweczki, jednego z wielu samochodzików Toby'ego. Schylił się i podniósł zabawkę, chcąc ją z bliska obejrzeć, i w tym samym momencie usłyszał, że Clare otwiera drzwi. Podniósł wzrok.

- Być może - odpowiedział lodowatym tonem. - Ale dłużej już nie będę nikim przypadkowym.

Z rozpaczą w sercu zrozumiała, że jedynie podsyciła jego determinację, i nie panując nad sobą, wybuchnęła gorąco:

- Gdybyś miał dzieci ze swojego małżeństwa, Toby nic by cię nie obchodził! Jeślibym ci powiedziała, że jestem w ciąży, to twoje pieniądze poszłyby na jej przerwanie. Nie chciałbyś...

Umilkła, gdy Jack wyprostował się i jednym susem przyskoczył do niej. Wydał się jej nagle niesamowicie wysoki i silny.

- A skąd ty, do diabła, możesz wiedzieć, co bym zrobił, a czego nie? Nawet gdybym miał całą gromadkę dzieciaków, Toby byłby mi drogi. Ale jest moim jedynym dzieckiem,

jedynym synem. Straciłem już pięć lat z jego życia i nigdy nie zgodzę się na to, żebyś nadal mnie od niego separowała! Spojrzała mu w twarz jak lwica chroniąca swoje młode.

- Trzymaj się od niego z daleka. Nie jesteś nam potrzebny. Nigdy cię nie potrzebowaliśmy i nigdy nie będziemy potrzebować. A teraz - podniosła głos - wynoś się! Wynoś się z mojego domu!

Wyciągnął ręce, jakby chciał chwycić ją i potrząsnąć, lecz w tym samym momencie otworzyły się drzwi.

- Obudzicie chłopca. - Jonesy wszedł do pokoju. - Czy naprawdę zależy wam na tym, żeby usłyszał, jak się o niego wyklóacie?

Zaciskając pięści, Jack starał się zapanować nad wściekłością.

- Kim jest ten człowiek?

- Babysitterka.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem i podszedł do drzwi. W progu odwrócił się.

- Będzie, jak powiedziałem. Chcę mieć swój udział w życiu Toby'ego, a skoro muszę z tobą o to walczyć, nie będę przebierał w środkach.

- Jak śmiesz mi grozić! - krzyknęła z pobladłą twarzą, ale kiedy wyszedł, poczuła, że nie ma siły stać, i gdyby Jonesy jej nie podtrzymał, osunęłaby się na podłogę. Drżąc, wsparła się na nim.

- Och, Boże, Jonesy, co mam robić? On mi zabierze Toby'ego. Wiem, że tak się stanie.

Po wyjściu z budynku Jack grzotnął pięścią w ścianę, zły na siebie za to, że dał się ponieść nerwom, i jeszcze bardziej wściekły na Clare, że go do tego doprowadziła.

Nie zamierzał jej grozić, a na tym się właśnie skończyło. Zamiast uzyskać możliwość kontaktu z Tobym na zasadzie porozumienia, był teraz zmuszony o to walczyć, a Clare najprawdopodobniej wsaczy w chłopca niechęć do niego.

Spojrzał na zegarek. Samochód miał tu być dopiero za ponad pół godziny. Mógł przywołać szofera przez telefon komórkowy, ale postanowił się przejść i przemyśleć swoje spotkanie z Clare. Rozsierdzony ruszył szybko przed siebie, lecz na rogu coś mu się kazało obejrzeć. Zobaczył wtedy tego starego człowieka, którego nazwała babysitterką. Wychodził z bloku. Bez wahania Jack wszedł do pierwszej bramy, a następnie poszedł za mężczyzną zmierzającym w przeciwnym kierunku.

Nie musiał iść daleko. Po niespełna pięciu minutach stary skręcił do dużego wiktoriańskiego budynku dwie przecznice dalej. Jack odczekał, aż wejdzie do środka, i dopiero wtedy podszedł przyjrzeć się lepiej, co to za dom. Przy drzwiach wisiała tablica z napisem „Schronisko dla bezdomnych”. Jackowi aż zaparło oddech. Coś takiego! Do opieki nad jego synem wynajmowała jakiegoś wyrzutka, może nawet pijaka! O nie! Tak dalej nie będzie! Nigdy na to nie pozwoli! Z ponurą satysfakcją uświadomił sobie, że to, czego się dowiedział, z całą pewnością wzmocni jego pozycję. Po czymś takim żaden sąd nie odmówi mu prawa do kontaktu z synem, a może nawet do uczestnictwa w jego wychowywaniu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnym razem Clare zobaczyła Jacka dopiero podczas przesłuchania. Sądziła, że rozprawa będzie się odbywała w sali sądowej, toteż zdziwiła się, gdy adwokat zaprowadził ją jedynie do jakiegoś pokoju, gdzie za dużym biurkiem siedziała

sędzina. Urzędnik sądowy odczytał wniosek Jacka, w którym domagał się on prawa do widzeń z synem. Tego się spodziewała, lecz kiedy usłyszała, że żąda również udziału w wychowywaniu Toby'ego, nerwowo drgnęła.

Sędzina spojrzała na nią, jak się jej wydało, nie bez współczucia i spytała:

- Panno Longman, czy przyznaje pani, że pan Straker jest ojcem pani syna?

- Tak - odparła po sekundzie wahania.

- A czy syn wie, kto jest jego ojcem?

- Byłam zmuszona mu powiedzieć. Z uwagi na to, że Straker jest taką... - ostrożnie dobrała słowo - ...znakomitością, procesem zainteresowała się prasa. Doszło to do uszu kolegów Toby'ego i zaczęli go wypytywać.

- Przedtem nic mu pani nie mówiła?

- Nie.

- Dlaczego?

Clare przeniosła wzrok z sędziny na Jacka.

- Ponieważ dla Strakera była to sprawa jednej nocy. Potem nie chciał mieć ze mną nic wspólnego; powiedział, że jest żonaty. Zrobił wszystko, żeby się mnie jak najszybciej pozbyć. Nie życzę sobie, żeby tego typu człowiek miał jakikolwiek wpływ na moje dziecko.

Oczy Jacka zwęziły się. Popatrzył na swego adwokata. Prawnik wstał.

- Mam rozumieć, że uważa pani, iż wpływ pana Strakera na syna będzie niewłaściwy?

Nie bardzo wiedziała, do czego prowadzi to pytanie, ale odpowiedziała pewnie:

- Tak. Zdecydowanie.

- To interesujące - ciągnął aksamitnym tonem prawnik. - Panno Longman, do opieki nad chłopcem zatrudnia pani człowieka, którego kilkakrotnie zatrzymano za włóczęgostwo i pijaństwo. Chodzi o niejakiego Alberta Jonesa, obecnie zamieszkałego w schronisku dla bezdomnych. Czy nie tak?

Clare zbladła i rzuciła Jackowi spojrzenie pełne pogardy.

- Znam Jonesy'ego... pana Jonesa... od trzech lat. Jest mojemu synkowi bardzo oddany i kiedy się nim zajmuje, nigdy nawet nie tyka alkoholu. Prawdę mówiąc, uratował mu raz życie. Toby połknął część zabawki, a Jonesy wydobył mu ją z przełyku. To dobry, odpowiedzialny człowiek. Ufam mu, bo go znam. Jest znacznie bardziej godny zaufania niż jakaś tam opiekunka, którą musiałabym zatrudnić za pośrednictwem agencji. A co do jego bezdomności... Tak, to prawda, ale nie ma w tym jego winy. Jest wykształconym, zdolnym człowiekiem, miał dobrą pracę, ale stracił posadę w okresie recesji. Znalazł inną, musiał z niej jednak zrezygnować, ponieważ poważnie zachorowała mu żona. W tej sytuacji nie był w stanie spłacać domu. Stracił go, a żona umarła.

Adwokat Jacka zachowywał się tak, jakby w ogóle jej nie słuchał.

- Mamy dowody na to, że w okresie minionych trzech lat pan Jones został dwukrotnie zatrzymany za pijaństwo. Rozumiem więc, że od czasu do czasu robi mu pani prezent w postaci butelki whisky.

- Pozwala sobie na bibkę wyłącznie w dniu swoich urodzin, bo jest to dla niego dzień nadzwyczaj smutny - odparła z godnością. - Człowiek, który dla dobra mojego



dziecka odmawia sobie przez okrągły rok kropli alkoholu, zasługuje na najlepsze piwo, jeśli go już koniecznie potrzebuje.

Jack gratulował jej w duszy. Podobała mu się za to, co mówiła, za swoją lojalność. Współczuł i jej, i temu staremu człowiekowi, lecz nie zamierzał wytrącić sobie -z ręki najmocniejszego atutu.

- Panno Longman - głos zabrała sędzina - dlaczego uważa pani, że pan Straker będzie miał zły wpływ na syna?

- Bo dla niego liczą się jedynie pieniądze - odpowiedziała wprost. - Tylko w nie wierzy. Próbował mi zapłacić po... po tamtej nocy. Odmówiłam. - Podniosła dumnie głowę. - Nie jestem na sprzedaż. Bez mojej wiedzy włożył mi jednak czek do kieszeni. Chciałam go podrzeć, ale odkryłam, że jestem w ciąży, więc byłam zmuszona z niego skorzystać. Obecnie prowadzę własny biznes, powodzi mi się nieźle i nie potrzebuję pomocy finansowej. Jestem w stanie zapewnić Toby'emu wszystko. Ma dom, miłość, oddanie. Z całą pewnością nie trzeba mu tylko jednego - obcego człowieka, który wkroczy w jego życie i będzie próbował kupić sobie jego miłość i ukształtować go na swoje podobieństwo.

Mówiła z pasją, porywczo i przez chwilę Jack czuł podziw, a może nawet pewien żal. Jednakże w żadnym razie nie zamierzał się poddać. Wstał.

- Padły tu pod moim adresem oskarżenia, wobec których nie mogę zostać obojętny, ponieważ nie mają nic wspólnego z prawdą. Owszem, chcę mieć udział w życiu mojego syna; jakież ojciec tego nie pragnie? Ma to jednak polegać na pomocy, a nie na przekupywaniu czy psuciu dziecka. - Pokręcił głową, dając do zrozumienia, że taka interpretacja jego intencji jest absolutnym bałamuctwem. - Faktycznie, powodzi mi się nie najgorzej, dlatego więc z owoców tego sukcesu nie miałby skorzystać mój syn? Tak samo postępowałby każdy inny ojciec - dodał, kładąc nacisk na pokrewieństwo. - Przez całe pięć lat byłem tej przyjemności, tego prawa, pozbawiony. Nie chcę zaważać na życiu Toby'ego, ale chciałbym mieć w nim udział. Chcę go znać i chcę, żeby on znał mnie. Doceniam wspaniałą postawę matki, ale czuję, że chociaż Toby nie może mieć prawdziwej, pełnej rodziny, ma prawo znać swego ojca.

Sędzina spojrzała na Clare.

- Stanowisko pana Strakera wydaje się uzasadnione. Panno Longman...

Clare zacisnęła dłonie tak mocno, że aż poczuła wbijające się paznokcie.

- Pozostaje faktem, że po wyrzuceniu mnie z domu Straker nie poczynił żadnych kroków, żeby się dowiedzieć, co się ze mną dzieje i czy przypadkiem nie zaszłam w ciążę. Wtedy go to nic nie obchodziło. A co będzie, jeśli oczaruje Toby'ego i obsypie go pieniędzmi, a potem ożeni się ponownie i z tego małżeństwa będzie miał dzieci? Jest jeszcze młody, to się może łatwo zdarzyć. Założę się o wszystko, że gdyby tak się stało, po prostu odsunąłby od siebie Toby'ego, nie chciałby mieć z nim dłużej do czynienia. Nie chciałby tracić na niego swoich pieniędzy - dodała, rzucając mu nienawistne spojrzenie. - Nie zgadzam się. Nie narażę mojego dziecka na takie ryzyko.

Jack natychmiast zerwał się z miejsca. Adwokat chwycił go za rękaw, ale wyszarpnął mu się.

- To potwarz i kłamstwo - powiedział gwałtownie. - Od chwili kiedy dowiedziałem się o istnieniu Toby'ego, niczego bardziej nie pragnę, jak pomagać mu i być częścią jego życia!

- Zwłaszcza ten proces mu pomoże! Tak uważasz, co?! - krzyknęła, niepomna na to, gdzie się znajdują.

- Do sądu przywiódł mnie wyłącznie twój upór. Zmusiłaś mnie do tego...

Sędzina zastukała w blat biurka wiecznym piórem. Oboje rozgorączkowani, spojrzeli na nią. Ich twarze wykrzywiała złość.

- Rozumiem, że wchodzi tu w grę wielkie emocje. Ale podmiotem moich rozważań jest wyłącznie państwa syn.

Umilkła i Clare uświadomiła sobie nagle, że sędzina mówi do nich obojga. Nigdy dotąd nie myślała o Tobym jako o kimś, kto należy również do Jacka. Zwracając się najpierw do niego, sędzina kontynuowała:

- Panie Straker, czy w najbliższej przyszłości zamierza się pan ożenić?

- Nie - odparł ponuro.

- A pani, panno Longman... Czy zamierza pani zawrzeć małżeństwo bądź wejść w stały związek, który stworzy Toby'emu warunki do życia w pełnej rodzinie?

Clare zawahała się, wyczuwając, że to może być coś, co dla sądu ma duże znaczenie. Odpowiedź przecząca mogła być niebezpieczna.

- Nie. W chwili obecnej nie - odpowiedziała ostrożnie. Sędzina kiwnęła głową.

- Rozważę sprawę skrupulatnie - powiedziała oficjalnym tonem. - O decyzji zostaniecie państwo powiadomieni we właściwym czasie.

Podniosła się, skinęła głową i wszyscy wyszli na korytarz.

Clare rozmawiała przez chwilę ze swoim adwokatem. Był z niej niezadowolony.

Strofował ją za to, że dała się ponieść nerwom. Poczuli się winna i zaczęła się bać, że przegra sprawę.

Kiedy adwokat się pożegnał, zauważyła, że Jack również kończył rozmowę ze swoim obrońcą i zbierał się do wyjścia. Pobiegnęła za nim i chwyciła go za rękę.

- Ty podlec! - krzyknęła. - Jak śmiałeś zrobić z Jonesy'ego pijaka? To dobry, przyzwoity człowiek. To nie jego wina, że stracił pracę i że umarła mu żona. Tylko taki łajdak jak ty mógł się zdobyć na takie świństwo, żeby oskarżać kogoś, kto nie jest w stanie się bronić. Czy pomyślałeś choćby przez chwilę o tym, że może Toby go kocha? Nie, naturalnie, że nie. Myślisz wyłącznie o...

Zamilkła, gdy Jack położył jej dłoń na ustach, i tylko patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to bardzo proszę, ale nie tutaj. W porządku?

W jej oczach zabłysła wzdrgała, ale kiwnęła głową. Jack odsłonił jej usta.

- Boisz się prac brudy w miejscu publicznym? - syknęła. Zacisnął wargi.

- Niedaleko stąd jest pub - powiedział. - Chodźmy tam na drinka.

Zawahała się, ale w końcu wzruszyła ramionami i poszli razem ulicą. W pubie znaleźli cichy kąt.

- Czego się napijesz?

- Kieliszek wytrawnego białego wina, proszę. - Wyciągnęła pieniądze z torebki. -

Płacę za siebie.

Miał ochotę ją udusić, lecz sięgnął po wyłożone pieniądze. Gdy wrócił z drinkami, odliczył jej skrupulatnie resztę, walcząc ze sobą o to, by nie wybuchnąć gniewem.

- Cieszę się, że skorzystaliśmy z okazji, żeby porozmawiać - powiedział.

- Czyżby? Wydawało mi się, że przyszliśmy tu tylko dlatego, że bałeś się, iż ci nawymyślą od najgorszych w miejscu publicznym.

Palce Jacka zacisnęły się na szklaneczce.

- Klócenie się nic nam nie pomoże. Odłóżmy może na moment sprawę Toby'ego i po prostu... po prostu porozmawiajmy. Może potrafimy znaleźć jakąś płaszczyznę porozumienia.

- Żartujesz chyba!

- Niekoniecznie. Raz się udało.

Clare zaczerwieniła się i opuściła głowę.

- To nie było fair.

- Masz rację. - Nagle zrobiło mu się jej żal. - Przepraszam.

Podniosła głowę i popatrzyła na niego jak na obcego.

- Mam takie wrażenie, jakbym cię w ogóle nie znała. Chociaż przebywaliśmy pod jednym dachem wiele dni, nie okazałeś mi najmniejszego zainteresowania. W ogóle ze sobą

nie rozmawialiśmy... Na przykład nie wspomniałeś o tym, że jesteś żonaty.

- Trudno, żebym rozmawiał o swoim prywatnym życiu z kimś zupełnie obcym, kto wpakował mi się do samochodu.

- A jednak, jak stwierdziłeś, nie byliśmy sobie tak do końca obcy, prawda?

- No wiesz... - Upił łyk. - Ale nie jest tak, że zupełnie o tobie zapomniałem. Często zastanawiałem się, jak sobie radzisz, czy znalazłaś swoje miejsce na ziemi.

- Wygodną masz pamięć... - zadrwiła. - Naprawdę myślisz, że uwierzę w to, co mówisz?

- Wspominałem też często - dodał, nie zwracając na nią uwagi - tamtą noc, ostatnią, kiedy umarł mój ojciec.

Clare znieruchomiała. Prawdopodobnie nienawidził jej za to, że pozwolił sobie wtedy na słabość, że w jej obecności okazał, jaki jest wrażliwy.

- Nie chcę wracać do przeszłości - powiedziała szybko. - Liczy się jedynie to, co jest teraz.

- Może masz rację. - Spojrzał na nią z odnowionym zainteresowaniem, zastanawiając się, czy z kimś sypia i czy zbliżenie z nim miało na tę sferę jej życia jakiś wpływ. Niepokoiła go ta myśl. Przypominał sobie, jak u siebie w domu wykrzyczała mu, że zrujnował jej życie. Uznał wtedy, że miała na myśli ciążę, ale teraz wszystko to nie wydawało mu się już takie proste. Zastanawiał się, czy nie chodziło o coś więcej.

Odwróciła twarz i pozwolił sobie przyjrzeć się jej lepiej. Nie była piękna, a przynajmniej jej uroda nie mieściła się w obowiązującym obecnie kanonie piękności. Ze swymi ciemnymi włosami, jasną cerą i pełnymi wyrazu oczami była jednak atrakcyjna, może nawet pociągająca. Kto raz zobaczył ją w gniewie - a taką miał ją przed sobą przez cały czas - temu, jak sądził, nigdy już nie dane będzie jej

zapomnieć. Miała też dobrą figurę, wszystko, co podoba się mężczyznom. Z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że pamięta ze szczegółami tamtą miłosną noc.

Czując na sobie jego wzrok, Clare raptownie odwróciła głowę i nim zdążył ukryć pożądanie, spostrzegła je w jego oczach.

- Tracimy niepotrzebnie czas - powiedziała ze ściągniętą twarzą. - Do widzenia. Zamierzała wstać, lecz wyciągnął rękę.

- Nie. Nie idź. Masz rację, oczywiście... Liczy się wyłącznie Toby. Powiedziałaś sędzinie, że on o mnie wie. Czy... czy prosił o spotkanie ze mną?

- Nie.

Zaprzeczyła zbyt pośpiesznie, żeby mógł jej uwierzyć.

- To dziwne, że nie jest mnie ciekaw. A może opowiedziałaś mu tylko to, co chciałaś, żeby usłyszał? Starasz się nastawić go przeciw mnie, nim jeszcze jest czas?

Spojrzała na niego, jakby chciała go unicestwić.

- Tylko ktoś o twojej mentalności może coś takiego wymyślić.

- Cieszę się, że to słyszę. A zatem, co mu powiedziałaś?

- To pozostanie między mną a Tobym.

- Mam prawo wiedzieć, Clare.

Przez dłuższą chwilę bawiła się kieliszkiem.

- W zasadzie - zaczęła niechętnie - powiedziałam mu jedynie to, że jesteś jego ojcem. Że poznaliśmy się przypadkowo, ale miałaś własną rodzinę, więc nie mogłeś mieszkać

razem z nami... Cóż... Toby ma tylko pięć lat. Rozumie jeszcze niewiele. Wie od swoich rówieśników, że czasami tatusiowie mieszkają ze swoimi dziećmi, a czasem nie, i tyle. Dobrze mu tak jak jest. Nie chcę burzyć mu spokoju.

- Ja też. Pragnę jedynie, żeby jego życie było pełniejsze! - Schował ręce pod stół, nim zacisnął je w pięści. Wolał, żeby nie widziała, jak głęboko to przeżywa. - Chciałbym go zobaczyć - powiedział wypranym z emocji tonem.

- Nie! I tak nie będziesz miał udziału w jego życiu. Więc po co?

- Toby, Clare, jest tak samo mój, jak twój. Popatrzyła mu prosto w twarz.

- Nieprawda! Owszem, przespaliśmy się ze sobą, raz, i daliśmy temu dziecku życie, ale to jeszcze nie znaczy, że ono pragnie kontaktu z tobą. Myślisz, że Toby cię potrzebuje, że odezwie się w nim jakiś instynkt i od razu pokocha cię jak syn? Nie, mój drogi. Będzie się bał, poczuje się niepewnie. Zmiesza się i zawstydzi, a ciebie to zirytuje, więc będzie się zachowywał jeszcze gorzej. Byłoby mu łatwiej zapoznać się z tobą, gdyby myślał, że jesteś kimś obcym. Poczuje się zagrożony. Tak jak ja... -

Wstała, podnosząc głos. - Czemu nie odczepisz się od nas i zostawisz nas samych?

Nie potrzebujemy ciebie. Ani teraz, ani dawniej, ani nigdy! - Odepchnęła wyciągniętą rękę i szybko wyszła z pubu.

Nie próbował jej zatrzymać ani dogonić. Podszedł do baru, poprosił o jeszcze jednego drinka i usiadł zamyślony. Stanęła mu przed oczami twarz Clare - nie nienawistna i gniewna jak teraz, lecz taka, jaką miała w domu ojca. Wyglądała wtedy tak młodo, bezbrinnie. Jak wygłodzone dziecko.

Zatęsknił nagle, mocno, aż do bólu, za tym, żeby się dowiedzieć, jak wygląda jego syn. Czy było w nim coś z niego, czy też stanowił kopię matki? Od kiedy przed

paroma tygodniami zobaczył to dziecko w samochodzie, obsesyjnie wręcz pragnął jego widoku. Tęsknił za tym, żeby go dotknąć, poczuć ciepło jego ręki i wiedzieć, że w żyłach tego chłopca płynie ta sama krew. Panował jednak nad swoją tęsknotą, próbując najpierw zbliżyć się do Clare, a kiedy się to okazało niemożliwe, zwrócił się do sądu. Chciał postępować uczciwie, ale teraz widział już, że Clare zrobi wszystko, żeby mu to uniemożliwić. Poczul nagle, że jego cierpliwość się wyczerpała. Odstawił drinka, wyszedł szybko na ulicę i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

Toby chodził do dobrej szkoły, toteż przed budynkiem kłębił się cały tłum niań i opiekunek oczekujących na swoje skarby. Jonesy, w swoim podniszczonym, połatanym ubraniu, stał nieco na uboczu. Był sam, ale wszyscy przyzwyczaili się już do niego i przyjaźnie go pozdrawiali. Nie wysiadając z taksówki, która zatrzymała się w uliczce niedaleko wejścia, Jack odczekał, aż Jonesy, trzymając Toby'ego za rękę, opuści teren szkoły, i dopiero wtedy zapłacił i poszedł im naprzeciw.

Rozmawiali ze sobą. Chłopiec opowiadał właśnie z entuzjazmem o planowanej wycieczce do zoo, gdy nagle stanął przed nimi jakiś mężczyzna. Jonesy spojrzął na niego, zatrzymał się zaskoczony i zrobił gest, jakby chciał go odsunąć, ale Jack odezwał się pierwszy.

- Witaj, Jonesy - powiedział najspokojniej, jak tylko potrafił. - Przypominasz mnie sobie, prawda?

- Tak, ale... Czy przysłała pana Clare?

Mógł skłamać, ale pokręcił głową.

- Nie. Pomyślałem, że po prostu przyjadę, żeby was spotkać. - Pozwolił sobie zerknąć na chłopca. - Ciebie i Toby'ego.

Chłopczyk podniósł wzrok. W spojrzeniu tym Jack odnalazł coś niesłychanie znajomego. Przez sekundę nie wiedział, co to było, ale zaraz stanęła mu przed oczami stara fotografia, przedstawiająca nie jego, lecz ojca. Był na niej mniej więcej w tym samym wieku, co Toby. Miał to samo szerokie czoło, proste brwi i mocną sylwetkę, które czyniły z niego ładne dziecko i zapowiadały piekielnie przystojnego mężczyznę. Tylko oczy były inne. Toby przyglądał mu się z ciekawością oczami Clare. Jack przykucnął i uśmiechnął się do swego syna.

- Cześć, Toby.

Chłopiec zerknął na Jonesy'ego i kiedy ten kiwnął głową, odpowiedział grzecznie:

- Cześć. Jedziemy niedługo na wycieczkę do zoo.

- Świetnie. Lubisz zwierzęta?

- Tak, ale w naszym bloku nie można ich trzymać. Miałem kiedyś chomika, ale uciekł z klatki i przestraszył panią sprzątaczkę. O mało nie umarła. Tak właśnie powiedziała - dodał z uciechą. - Powiedziała też, że jak będziemy go trzymać, to więcej do nas nie przyjdzie. No więc zanieśliśmy chomika do szkoły i mieszka sobie teraz w klasie.

Jack słuchał synka jak zaczarowany, czując, że jego serce wypełnia po brzegi miłość. Jakże pragnął poczuć dłoń Toby'ego w swojej, wiedział jednak, że nie wolno mu działać zbyt pośpiesznie. Już samo przyjście tutaj było ryzykowne - nie należało z niczym wybiegać naprzód, niczego inicjować.

- Jesteś dobry z rysunków? - zapytał swobodnym, lekkim tonem. - Może narysowałbyś dla mnie chomika? Jak się wabi?

- Cricetus. Nasza nauczycielka powiedziała, że to odpowiednie imię dla chomika, ale ja go nazywam Puszek.

- Puszek brzmi ładniej - powiedział Jack z poważną miną.

Toby uśmiechnął się i Jack spostrzegł nagle, że chłopczyk odziedziczył po Clare nie tylko oczy.

- Też tak myślę - ucieszył się malec i zerknął na Jacka z jeszcze większym zainteresowaniem. - Jesteś przyjacielem mamusi?

- Tak.

- Takim jak Paul?

Jack zawahał się, nie wiedząc, co łączy Clare z owym Paulem.

- Nie - odpowiedział zdecydowanie i nagle usłyszał za sobą jej głos.

Wyprostował się i odwrócił do niej. Była wściekła, lecz z uwagi na dziecko panowała nad sobą. Tylko jej oczy i napięcie świadczyły o straszliwym zdenerwowaniu.

- Zasugerowałaś, że będzie lepiej, jeśli zapoznam się z Tobym jako człowiek obcy - powiedział cicho.

- Drań! - szepnęła, wymijając go, i wyciągnęła rękę do chłopca. - Cześć, dziecinko. Objął ją, powiedział o wycieczce do zoo, a potem wziął ją za rękę i popatrzył w górę na Jacka.

- On chce, żebym mu narysował Puszka.

- Tak? - Zerknęła na Jacka, który uparcie, z napięciem przytrzymał jej wzrok.

Spróbowała przemóc siłę jego woli, lecz nie udało się. Z nienawiścią odwróciła oczy. - Zaprowadzę Tobie'ego do domu - zwróciła się do Jonesy'ego. - Może wpadłbyś do nas za godzinę na herbatę?

- Chętnie, moja miła. Do zobaczenia, Tobie.

Kiedy odszedł ciężkim, powolnym krokiem, pokazała ręką na prawo.

- Za szkołą jest skwer. Chodźmy tam, posiedzimy parę minut. Tobie, prowadź! Chłopczyk pobiegł przodem.

- Nigdy ci tego nie wybaczę - powiedziała mściwie do Jacka. - Nigdy!

Nie odpowiedział. Nic a nic nie obchodził go gniew Clare. Był teraz w stanie myśleć wyłącznie o tym, że Toby ma się wreszcie dowiedzieć, że to on jest jego tata. Bał się, jak na to zareaguje. Clare co prawda zapewniała go, że nie nastawiła chłopca przeciwko niemu, ale jej gniew i lęk były trudne do ukrycia, a wszelkie emocje dzieci wychwytyją bezbłędnie. Toby mógł przejąć jej nienawiść, a to uniemożliwiłoby za-dzierzgnięcie jakiegokolwiek więzi.

Na skwerku, pod kwitnącym drzewem, stała stara ławka. Wiedząc, że tę chwilę Toby zapamięta prawdopodobnie na całe życie, Clare przełknęła gorycz i zaciskając mocno palce na drewnianym oparciu, uśmiechnęła się do synka.

- Toby... pamiętasz... opowiadałam ci niedawno o... o panu Strakerze.

Popatrzył na nią poważnie i kiwnął głową. Chciała mówić dalej, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Toby zwrócił swoje duże oczy na Jacka.

- Czy pan... czy ty jesteś panem Strakerem? - zapytał nerwowo.

- Tak. - Jack usłyszał swój zmieniony, jakby schrypnięty głos. - Jestem twoim ojcem, Toby.

Chłopiec natychmiast przysunął się do matki, przyciskając się do jej nóg i szukając ręki.

- Chciał cię tylko poznać - powiedziała uspokajająco. - Powiedzieć ci dzień dobry. Nie pójdzie z nami do domu. W żadnym razie...

W jej głosie dała się chyba słyszeć nuta paniki, gdyż Toby odwrócił wzrok od Jacka, spojrzał na matkę, nakrył jej dłoń drugą rączką i ścisnął, jakby chciał ją uspokoić. Potem znowu popatrzył na Jacka i zastanowił się. Coś mu się widać dobrze zgadzało, gdyż powiedział:

- Narysuję ci Puszka, jeśli chcesz.

- Dziękuję. Bardzo bym chciał.

- Masz jeszcze innego chłopczyka? - zapytał Toby.

- Nie. Dziewczynki też nie mam. Mam tylko ciebie... synku. - Ostatnie słowo wypowiedział tak, jakby coś wypróbowywał, niemal z lękiem, lecz nagle zaśpiewało mu ono w uszach.

Clare napięła się. Nienawidziła go za to. Poczuli się jak w pułapce, wymanipulowana, oszukana... Jej szczęśliwe na swój sposób, ustabilizowane z takim trudem życie waliło się w gruzy. Chroniła Toby'ego i zrobiłaby wszystko, żeby Jack nie dowiedział się o jego istnieniu. Ale się dowiedział. A teraz, dla dobra tego dziecka, musiała udawać, że nic się nie stało.

- Zbierajmy się już lepiej do domu - powiedziała.

- Czy po drodze możemy popatrzeć na ten samochód w sklepie? - poprosił Toby.

- Dobrze, ale pamiętaj, króciutko.

Wyszli ze skwerku.

- Nie będziemy cię zatrzymywać - rzuciła lodowato nad głową idącego między nimi synka. - Masz zapewne mnóstwo ważnych spraw. Nowe inwestycje, stare inwestycje... Miłego pomnażania milionów...

- Zrobiłem już dziś, co miałem zrobić - odparł beznamietnie. - Równie dobrze mogę więc odprowadzić was do domu.

- Dziękuję, poradzimy sobie sami.

Jej spojrzenie było wymowniejsze niż słowa. Zjeżdżaj, krzyczało, odczep się od nas na zawsze! Udał, że nie rozumie. Doszli razem do sklepu z używanymi rzeczami, w którym sprzedawano dosłownie wszystko - od starych dzbanków i garnków, po części do rozmaitych sprzętów.

Toby pchnął drzwi i wpadł do środka.

- Proszę pani, czy mogę go zobaczyć?

Prowadząca sklep pulchna kobieta w średnim wieku roześmiała się do niego.

- Nic się nie zmienił od ostatniego razu.

Sięgnęła na półkę za sobą, zdjęła pudełko i postawiła je na ladzie. Toby wspiał się na krzesło, żeby widzieć lepiej, i wstrzymując oddech, ostrożnie podniósł wieko. W pudełku był model srebrzystego samochodu. Chłopiec nieśmiało zerknął na Jacka.

- To samochód Jamesa Bonda. Tego z filmów. Prawdziwy model.

- Naprawdę? - Jack oparł się o ladę, żeby przyjrzeć mu się lepiej. - Tablica z numerami się obraca?

- Tak. I zobacz! - Chłopiec z zachwytem prezentował wszystkie samochodowe akcesoria, dotykając ich delikatnie.

- Kosztuje bardzo dużo, ale pani Osmond zgodziła się zatrzymać go dla mnie, aż odłożę. - Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął pięćdziesiąt pensów. Kobieta odnotowała wpłatę w kajeciku i odstawiła samochód na półkę.

Jack miał przemożną ochotę zapłacić za zabawkę i podarować ją chłopcu. Kiedy jednak poczuł wzrok Clare, zrozumiał, że właśnie tego się po nim spodziewa, i bez trudu oparł się pokusie. Zaczął rozmawiać z Tobym o samochodach, odkrywając ze zdziwieniem, że chłopiec sporo wie.

- Mam dużo samochodzików w domu - powiedział.

- Może pokażesz mi je kiedyś. - Czuł, że Clare się zżyma, ale Toby był wyraźnie ucieszony.

Kiedy szli ulicą w kierunku domu, Jack poczuł małą rączkę nieśmiało wślizgującą się w jego dłoń. Spojrzał na wzniesioną ku niemu twarzyczkę Toby'ego i zadrżało mu serce. W całym swoim życiu nie przeżył nic wspanialszego. Musiał odwrócić głowę, żeby nikt nie zobaczył idiotycznych łez szczęścia, które napłynęły mu do oczu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Toby był już w łóżeczku. Po kąpieli i przeczytaniu mu bajki usnął szybko. Mogła wreszcie pójść do saloniku, gdzie czekał na nią Paul Venton, i zwierzyć się ze wszystkiego, co wydarzyło się tego dnia.

Siedział na kanapie, popijając drinka i myślał o tym, jak pięknie dziś wygląda Clare. Do tej pory ich znajomość miała charakter towarzyski. Zbliżyło ich zainteresowanie antykami, które przerodziło się w obopólną niezobowiązującą sympatię. Ale też w nic ponadto. Dopiero dziś, wysłuchując jej ufnych zwierzeń, zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie zmierzają ku czemuś głębszemu.

- Absolutnie się z tobą zgadzam - przytaknął, gdy powiedziała mu wprost, co myśli o Strakerze. - Ale mogę być nieobiektywny. Mam swoje powody, żeby go nie cierpieć.

- Bo co? - Zaintrygowana, usiadła obok niego. - Co się stało?

- Nie wiedziałaś? Pracujemy w tej samej branży. Często ze sobą rywalizujemy... - Uśmiechnął się kwaśno. - Kilka razy udało mu się sprzątnąć mi sprzed nosa bardzo atrakcyjny kontrakt, więc nie mam powodu go uwielbiać. Mówią o nim „czarodziej” i faktycznie - coś w tym jest.

O tak, pomyślała Clare. Przynajmniej jeśli chodzi o Toby'ego okazał się absolutnym czarodziejem. Nigdy jeszcze jej synek nie zaakceptował nieznanegoj osoby tak łatwo. Nie uszło jej uwagi, że wziął Jacka za rękę i jak to zrobił. Odczuła to boleśnie, dosłownie zieleniejąc z zazdrości. Chciała krzyknąć, żeby go w tej chwili puścił, lecz wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić, gdyż dzieciak zapewne myślał, że tak się powinien zachować wobec ojca. Wieczorem był bardzo podniecony - wypytywał o Jacka, chciał wiedzieć, czy się z nim jeszcze zobaczą. Ucięła w końcu tę rozmowę,



mówiąc, że nie wie, i chłopczyk umilkł spłoszony. Była za to na siebie zła, ale po prostu miała już wszystkiego dosyć.

- Naprawdę martwię się, co to będzie - przyznała się.

- Spróbuj o tym nie myśleć i poczekaj na decyzję sądu. I nie zapomnij, że to, iż Straker narzuca się chłopcu, może być twoim atutem. Jeśli chcesz, powiem adwokatowi. Niech zawiadomi sędzinę.

- Już do niego dzwoniłam... - Clare uśmiechnęła się nagle. - Przepraszam cię, Paul. Wypłakuję ci się w mankiet. Pewnie śmiertelnie cię nudzę.

- Nie opowiadaj głupstw. Naprawdę chciałbym ci pomóc. Zadzwoił dzwonek i Clare poszła otworzyć Jonesy'emu, a potem wyszła z Pauliem na kolację. Wychodzili wieczorem razem dosyć często, ostatnio może częściej niż dawniej. Był od niej dużo, o prawie dwadzieścia lat, starszy i oboje z przyjemnością towarzyszyli sobie na rozmaitych imprezach albo też, tak jak dziś, zjadali razem kolację w jakiejś miłej knajpce, odkrytej przez Paula, a jeszcze nie sprawdzonej. Clare lubiła te wieczory, ale też nie miała zamiaru zmieniać charakteru znajomości z Ventonem. Nie zależało jej na poważnym czy naprawdę bliskim związku z mężczyzną, a jeśliby się już na taki związek zdecydowała, to na pewno nie z nim. Paul był sympatyczny, towarzyski, umiał dbać o kobietę, ale był z innego pokolenia i niekiedy trochę ją nudził. Była jeszcze młoda i nieraz pragnęła się po prostu zabawić - rozpuścić włosy i przetańczyć całą noc w dyskotecie.

Jako nastolatka była bardzo zbuntowana. Darła koty ze starą ciotką i wujem, którzy niechętnie przyjęli ją pod swój dach po śmierci babci i wychowywali po swojemu, starając się narzucić jej własne normy i monotony tryb życia. Topy i praca zawodowa przytłumiły znacznie jej buntowniczą naturę, ale wciąż jeszcze tęskniła czasem za chwilą luzu, za tym, żeby choć raz odłożyć obowiązki na bok i zaszaleć. Z Pauliem było to jednak niemożliwe. Za bardzo dbał o swój prestiż, żeby przy ludziach choć włos mu się nie przekrzywił na głowie. Podejrzewała, że prywatnie jest zresztą nie inaczej. I pewnie dlatego nigdy nawet nie pomyślała, że mogłaby się w nim zakochać, a jednocześnie tak bardzo lubiła się z nim pokazywać. Nie próbował przekroczyć pewnej granicy, którą stawiała ich znajomości. Być może domyślał się, że gdyby to zrobił, po prostu pożegnałaby się z nim raz na zawsze, tak jak z innymi adoratorami, którzy nie umieli zachować narzuconego przez nią dystansu.

Następnego dnia spotkała się na lunchu z Tanya Beresford. Nie widziały się od dość dawna, miały więc sobie mnóstwo do powiedzenia. Clare spodziewała się, że przyjaciółka zasypie ją pytaniami o Jacka i chociaż oczywiście od niego zaczęły, wkrótce okazało się, że Tanya ma własne kłopoty.

- Masz szczęście, że jesteś wolna i możesz się wiązać, z kim chcesz - westchnęła. - Jak się jest mężatką, to zupełnie co innego. Już samą myśl o kimś innym niż mąż zatruwają wyrzuty sumienia.

- Rozumiem więc, że o kimś myślisz...

- Mhm... Nie tylko myślę... Więcej.

- Chcesz powiedzieć, że masz kochanka?

- Jeszcze nie.

- Ale chcesz?

- Nie o to chodzi! Chyba się naprawdę zakochałam. To nie jest pierwsza lepsza znajomość. Oboje bardzo się zaangażowaliśmy, on mówi o małżeństwie. - Nachyliła się nad stolikiem. - Rzecz w tym, że Brian czegoś się domyśla i mam w domu ciężki przypadek SLŁ.

- SLŁ? A co to takiego?

- No tak, naturalnie, nie masz męża, więc nie wiesz. SLŁ to syndrom lodowatego łóżka. Żadnych pieszczotek, odwracanie się do żony plecami, mina obrażonego chłopczyka.

- Tanya! Przecież to okropne! Czy w małżeństwie ludzie naprawdę tak się zachowują? - roześmiała się.

- Mężczyźni owszem. Mam zebrać, błagać o przebaczenie i obiecywać mu dozgonną miłość, byle tylko znowu był dla mnie miły. Tak się jednak składa, że wiem, iż mój Brian wyjeżdżał na tak zwane konferencje z panią, która nie była wcale jego asystentką. Może się nawet zamienić w górę lodu, guzik mnie to obchodzi.

- A jesteś pewna, że twój obecny romans nie jest próbą rewanzu? Byłoby fatalnie, gdybyś się rozwiodła, wyszła za mąż za tego człowieka i odkryła, że wciąż kochasz Briana.

- No właśnie. Poza tym Brian jest ojcem moich dzieci i w ogóle... Chcę mieć pewność i naprawdę wolałabym poznać tego kogoś lepiej, nim podejmę decydujące kroki. Trudno nam się jednak spotykać, tak żeby ani Brian, ani w ogóle nikt się o tym nie dowiedział. Byłoby okropnie, gdyby na przykład wzięła nas na języki prasa. Tobie to może wszystko jedno, ale ja...

- Nie jest mi wszystko jedno - ucięła Clare. - Ten przeklęty człowiek ciąga mnie po sądach, żeby uzyskać prawo kontaktu z Tobym.

- A ja ci się dziwię. Jeżeli Jack Straker jest rzeczywiście jego ojcem, to powinnaś go przyjąć z otwartymi ramionami. Mówią, że jest fantastycznie bogaty. Pomyśl, co to oznacza dla Toby'ego.

Clare zdała sobie nagle sprawę z tego, że zasady, jakimi w życiu kieruje się Tanya, są odległe od jej własnych o milion lat świetlnych.

- No więc, co zamierzasz zrobić w związku z tym twoim mężczyzną? - zapytała.

- Hm... Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nad tym, czy nie mogłabyś od czasu do czasu udostępnić mi swojego mieszkania... - Widząc kompletne zaskoczenie na twarzy Clare, dodała pospiesznie: - Tylko po to, żebyśmy mieli gdzie porozmawiać. Tak trudno jest uciec ludziom. A ty mieszkasz w bloku, nikt się nie domyśli, że idziemy w to samo miejsce. Mogłabym powiedzieć, że byłam u ciebie, na przykład na lunchu, a mój... mój przyjaciel odwiedzałby, powiedzmy, kogoś, kto tam mieszka. Proszę cię, zgódź się. Dostaję już kręcka. Przecież wiesz, że ja zrobiłabym to dla ciebie.

- Nie przewiduję sytuacji, w której musiałabym kłamać - stwierdziła dobitnie Clare, ale zaraz roześmiała się z siebie.

- Boże, ależ ja się zrobiłam dęta. Kto to jest, Tanya?

- Nie mogę ci powiedzieć. Obiecałam.

- Żonaty?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie rozumiem...

- Zdziwiłabyś się. Myślę, że w ogóle małżeństwa większości osób, które znam, to parodia albo jakiegoś rodzaju układ. No to co, pomożesz nam? To potrwa tylko miesiąc, aż podejmę decyzję. Będziemy u ciebie jedynie rozmawiać.

Clare ani w to wierzyła, ani chciała mieć udział w rozbijaniu czyjogoś małżeństwa, ale Tanya była jedną z jej nielicznych bliskich koleżanek. Odmówiłaby jednak, gdyby nie czuła, że prawdziwym motywem postępowania przyjaciółki jest chęć rewanżu i że w końcu zostanie z mężem. Kiwnęła więc głową.

- Dorobię ci klucze. Ale zadzwoń jeszcze dla pewności. Podziękowaniom nie było końca, lecz niemal od razu Clare pomyślała o dziesiątkach spraw. Niespecjalnie podobało się jej to, że jej mieszkanie posłuży schadzkom, obawiała się też nieco reakcji Briana, w razie gdyby się dowiedział. Wyraziła już jednak zgodę. Nie mogła się wycofać.

Obecnie jej największym zmartwieniem był Toby. Nie szczędząc trudu, namalował dla Jacka chomika i podpisał go starannie swoim imieniem. Włożyli rysunek do dużej koperty i wysłali prawie tydzień temu, ale Jack nie zareagował. Kiedy dzwonił telefon albo przychodziła poczta, Toby patrzył na nią wyczekująco. Kręciła głową, a wtedy w jego oczach pojawiał się wyraz zawodu, co budziło w niej żal i gorycz. A zatem to tak ten oszust wyobraża sobie ojcostwo, myślała z wściekłością. Zbliżyła do siebie dziecko, po czym je lekceważy! Rozsierdzona w najwyższym stopniu, postanowiła dać mu jeszcze dwa dni, a potem powiadomić swego adwokata. Jednakże następnego dnia, wczesnym wieczorem, ktoś zadzwonił do drzwi. Toby pobiegł zajrzeć przez podgląd.

- To on - powiedział podniecony.

- Kto? - zawołała z kuchni.

- Pan Straker - odparł z wahaniem.

Clare wytarła ręce i podeszła do podglądu. Na dole Jack patrzył w kamerę. Czekał. Podniosła słuchawkę domofonu i zobaczyła, że zrobił to samo.

- Czego chcesz?

- Wpadłem zobaczyć Toby'ego.

- Nie masz prawa się z nim widywać.

- Chcę mu podziękować za rysunek.

- Mogłeś zatelefonować albo napisać do niego... Miałeś mnóstwo czasu.

- Wyjeżdżałem. Chciałbym mu to wytłumaczyć. Popatrzyła na Toby'ego. Wpatrywał się w nią swoimi wielkimi, wyrazistymi oczami. Choć wszystko się w niej burzyło, nie mogła odbierać mu nadziei.

- No, to proszę - powiedziała niechętnie. - Ale tylko na dziesięć minut. - Nacisnęła na guzik zwalniający drzwi.

Jack musiał być chyba w tropikach. Jego skóra miała dużo ciemniejszy odcień, niż kiedy widzieli się ostatnio. Toby otworzył mu drzwi, ale Jack niemal ginał za pękiem stokrotek w dużym glinianym dzbanku.

- Serwus, Toby. - Spojrzał na Clare i kiwnął z uśmiechem głową. - Dziękuję, że mnie wpuściłaś. Gdzie mam to postawić?

- Nie potrzebuję od ciebie prezentów.

- A kto powiedział, że to dla ciebie? - Spojrzał na nią, jakby go to bawiło. Postawił dzbanek na stolyczku. Musiała przyznać, że w pokoju od razu zrobiło się ładniej. Gdyby przyniósł róże czy orchidee albo coś podobnie drogiego i egzotycznego, rzuciłaby mu je w twarz, ale stokrotki były takie wdzięczne, takie delikatne, że od razu je pokochała.

- Dziękuję ci za rysunek, Toby. Bardzo mi się podoba. - Zerknął na Clare, ale ponieważ nie zapowiadało się, że poprosi go, żeby usiadł, zrobił to bez zaproszenia. Toby podszedł do niego i przysiadł na oparciu fotela.

- Mamusia powiedziała, że zadzwonisz, ale nie zadzwoniłeś...

- Przepraszam, wyjeżdżałem. Wróciłem dopiero dziś i od razu przyjechałem tutaj, żeby ci powiedzieć, jak bardzo mi się podoba.

Nie dodał, że był w Afryce Południowej i dzwonił stamtąd do swego sekretarza, który wspomniał mu o dużej kopercie, która przyszła w poczcie. Poprosił, żeby ją otworzył, i kiedy usłyszał, co zawiera, w jednej chwili postanowił zrobić przerwę w negocjacjach i lecieć do domu. Teraz cieszył się niezmiernie, że podjął taką decyzję. W głosie Toby'ego usłyszał bowiem niepewność, a nie chciał, żeby jego syn kiedykolwiek w niego zwątpił. Zaczął go pytać o ten rysunek i już po chwili uszczęśliwionemu chłopczykowi nie zamykała się buzia. Radość Toby'ego nie miała granic, gdy Jack sięgnął do kieszeni i wyjął płaskie pudełko.

- Pomyślałem sobie, że zużyłeś na rysunek dla mnie mnóstwo kredek, więc przywiozłem ci inne.

Toby popatrzył na kolorowo opakowany prezent i zerknął na matkę. Stała oparta o drzwi i przyglądała się im. Nie miała wyboru. Kiwnęła głową, a wtedy chłopiec rzekł grzecznie:

„Bardzo dziękuję” i odwinął paczuszkę. Kredki były zwykłe, bez żadnych bajerów, ale uśmiechał się uradowany.

- Może namalujesz te kwiaty? - zasugerował Jack.

- Teraz? Mogę?

- Byłoby świetnie.

Toby usadowił się przy stole, a Clare wyszła do kuchni. Po paru minutach zaszedł do niej Jack. Odwróciła się i zniżając głos do szeptu, syknęła nienawistnie:

- Jesteś podłym, szczerwanym...

- ...draniem - dokończył. - Wiem.

- Chciałam użyć mocniejszego słowa. Już po raz drugi wpraszasz mi się na siłę do domu i...

- Nie na siłę - zaprotestował.

- Dobrze, dobrze... Nie życzę sobie tego. Nikt tu na ciebie nie czeka.

- Czyżby? - Objął wzrokiem całą jej postać. Bardziej niż kiedykolwiek ostatnio przypominała mu dzisiaj tamtą młodą dziewczynę, którą poznał przed sześcioma laty. Miała rozpuszczone włosy, była nie umalowana, zastał ją w dzinsach i swetrze z wyłożonym kołnierzykiem zwykłej bluzki. Od razu wróciło do niego wspomnienie tej jedynej nocy, którą ze sobą spędzili, i nagle zamarzyło mu się, żeby go aż tak nie nienawidziła. Myśl ta była tak kłopotliwa, że jak najszybciej odsunął ją od siebie.

- Nie masz dziś randki z Paulem? - zapytał uszczypliwie.

- Z Paulem? - Od razu ogarnęły ją podejrzenia.

- Toby wspomniał, że widzisz się z kimś o tym imieniu - wyjaśnił usłużnie.

- A co to cię może obchodzić? Nie twoja sprawa, z kim się spotykam i co robię.

- Chyba żeby się to wiązało z moim dzieckiem - skwitował gładko.

- Och, rozumiem. Chcesz mnie przestraszyć. Próbujesz mi udowodnić, że jestem nieodpowiedzialną matką.

- Ależ skąd - zaprzeczył szybko, przeklinając się za to, że w ogóle zaczął ten temat, lecz Clare już się rozpędziła.

- Jak śmiesz? To ty masz za sobą nieudane małżeństwo. To ty oszukiwałeś żonę, ty cudzołożyłeś, nie ja. Ile razy ją zdradziłeś? Ile razy robiłeś skok w bok, nim cię wyrzuciła?!

- Nie dlatego się rozeszliśmy. Zresztą, nie twoja rzecz dlaczego - odparł ze ściągniętą twarzą.

- I nie twoja, z kim ja się widuję. Człowiek z taką przeszłością jak twoja nie powinien mieć prawa nawet zbliżyć się do Toby'ego. Więc nie oskarżaj mnie nigdy, że jestem złą matką. Słyszysz?

- Słyszę. - Była znowu jak lwica gotowa gryźć i walczyć pazurami o swoje małe. A ponieważ Toby był również jego dzieckiem, Jack pojednawczo podniósł rękę. - Naprawdę niczego takiego nie sugerowałem. Chodziło mi wyłącznie o to, że wszystko, co dotyczy Toby'ego, musi interesować i mnie. - Westchnął, widząc minę Clare, i uświadomił sobie, że ostatnia uwaga też nie była szczególnie taktowna. Roześmiał się i odgarnął włosy z czoła. - Co powiem, to źle, albo jeszcze gorzej. Czy my koniecznie musimy być wrogami?

- Tak.

- Nie chcę ci odebrać Toby'ego.

- Teraz tak mówisz, ale jeśli sąd przyzna ci prawo zajmowania się nim, będziesz się starał mnie podkopać. Wyślesz go gdzieś do szkoły, będziesz go zabierał na wakacje, przekupywał drogimi prezentami. Myślisz, że nie wiem, do czego chcesz doprowadzić?

- Źle mnie oceniasz - powiedział zirytowany. - Co mam zrobić, żeby cię przekonać?

- Nic. Po prostu wyjdź stąd i nigdy nie wracaj.

Czuł, że było to jej najgłębsze pragnienie. Mimo to pokręcił głową.

- Obawiam się, że zupełnie mnie nie znasz. Jeśli czegoś naprawdę chcę, to wyjdę ze skóry, żeby to osiągnąć. Taki już jestem... Chcę być dla Toby'ego ojcem, rozumiesz? I będę! Nie ma dla mnie sprawy ważniejszej niż ta.

Clare pobladła. Powinna była się z tym liczyć. Bez uporu i bezwzględności nie zrobiłby nigdy takiej kariery i pieniędzy. Nie czuła się jednak pokonana. Od lat samodzielnie prowadziła interesy; wiele się przy tym nauczyła i uodporniła na ataki.

- Miałeś swoje dziesięć minut, Straker - powiedziała ostro. - A teraz zjeżdżaj. Dawno już nikt nie śmiałby odezwać się do niego tak obcesowo ani mu rozkazywać, ale zapanował nad sobą.

- Mam na imię Jack. Zapomniałaś?

- Nigdy nie zwracałam się do ciebie po imieniu.

To prawda, pomyślał. Kiedy przed laty przebywali pod jednym dachem, zwracała się do niego bezosobowo albo per pan. Ale zaraz... Pewien szczegół wypłynął nagle z jego pamięci wyjątkowo ostro i jasno. Gdy tamtej nocy siedzieli razem na łóżku, Clare kojąco otoczyła go ramionami i gładziła po twarzy, na której nie obeschły jeszcze łyzy rozpacz, powtarzając: „Biedny Jack, biedny, biedny”. Także później, kiedy się kochali, szeptała jego imię - nie raz i nie dwa, ale bezustannie w chwilach największego uniesienia.

Wspomnienie tego momentu musiały odbić jego oczy, gdyż wstrzymała oddech i wyciągnęła rękę, jakby chciała odsunąć go od siebie, choć nie próbował jej dotknąć.

- Nie - poprosiła chrapliwie.

Twarz Jacka była jednak wciąż wyostrzona, a oczy pełne zapamiętanych miłosnych obrazów.

- Mówiłaś tak do mnie kiedyś, mówiłaś...

Cofnęła się o krok, wpadając tyłem na zlew, i oparła się rękami, zaciskając dłonie na obudowie.

- Wyjdź - wydusiła z trudem.

Stała w taki sposób, że jej piersi wyprężyły się, napinając sweter. Zapragnął ich dotknąć, pieścić je, zobaczyć ją taką, jaką była wtedy - nagą i roznamiętnioną, szepczącą jego imię. Pożądanie, które go wypełniło, było tak gorące, że odwrócił się gwałtownie, żeby nie zdążyła zauważyć, co się z nim dzieje, i odgarnął włosy, czując, że drży mu ręka.

- Niedługo dowiemy się, co postanowił sąd - powiedział w drzwiach. - Dostosujesz się do tej decyzji?

- A ty, jeśli będzie korzystna dla mnie?

Patrzyła na niego czujnie. Przez chwilę miała wrażenie, że... Ale nie... Panował nad sobą znakomicie, więc może się myliła.

- Przyznają mi to prawo, Clare. Jestem tego pewien.

- Jeśli tak, złożę odwołanie. Uśmiechnął się ponuro.

- Tak właśnie sądziłem. Ale to tylko strata czasu.

- Kto wie... Jeśli opowiem, jak narzucasz się Toby'emu...

Machnął niecierpliwie ręką, chciał coś powiedzieć, ale skrzypnęły drzwi i do kuchni wszedł Toby.

- Nie skończyłem jeszcze rysunku - powiedział do Jacka i zwrócił się do matki: - Czy kolacja będzie niedługo? Jestem głodny.

- Och, zupełnie zapomniałam o jedzeniu... Przepraszam cię, skarbie, zaraz ci coś przygotuję.

- Czy pan Straker... - Toby przerwał, ale spojrzał na nią błagalnie. - Czy mój tatuś może zostać?

Dla dziecka słowo tatuś jest czymś najzwyczajszym w świecie, ale Toby wypowiedział je po raz pierwszy w życiu. Wprawilo to Clare w popłoch, Jack natomiast jakby dostał skrzydeł. Przewidując, że zaraz usłyszy odmowę, uprzedził ją:

- Bardzo bym chciał, dziękuję ci, Toby, za zaproszenie. Zostanę, oczywiście, chyba że mama ma jakieś inne plany. -W spojrzeniu, jakie jej posłał, paliło się wyzwanie. Nie zamierzała tego dłużej znosić.

- Niestety, tego, co mamy, nie wystarczy dla trojga.

- No, to zadzwońmy po pizzę. A może dokądś się wybierzemy? Toby, masz jakieś swoje ulubione miejsce?

- Jest za późno - ucięła ostro. - Toby zawsze chodzi spać przed ósmą.

- Chcę pizzę! - zapiszczał chłopiec.

- Nie! Ja... - Umilkła, widząc, że patrzy na nią nie rozumiejącym, nieszczęśliwym wzrokiem. Był mały, jakże mógł pojąć konflikt między nimi. Być może zresztą nigdy nie zrozumie, że to, co się wydarzyło między nią i Jackiem, stworzyło mur, a on sam, zamiast zbliżyć ich ze sobą, rozdzielił na zawsze. Ale teraz wiedział tylko jedno – przyszedł do niego tato. Chciał, żeby został. Dla niego było to takie proste. Miała ochotę krzyknąć, nakazać Strakerowi, żeby się wynosił, ale przygryzła wargę.

- No dobrze, zjemy pizzę. - Spojrzała na Jacka z jawną nienawiścią. - Ale Toby pójdzie do łóżka o ósmej.

- Dziękuję... Nie zasiedzę się - przyrzekł.

- Już się zasiedziałeś - odburknęła cierpko.

Uśmiechnął się tylko. Wiedział, że może sobie na to pozwolić, bo pozyskał Toby'ego. Przeprowadzili całą dyskusję na temat rodzajów pizzy, a kiedy już dokonali wyboru, poszli po nią zatelefonować, a potem odebrali ją razem z dołu.

Clare nakryła na trzy osoby do stołu przy oknie wychodzącym na ogródki i kiedy usiedli, wróciła pamięcią do czasów, gdy znalazła się w domu ojca Jacka. Wszystko to wydawało się jej takie odległe, jakby przydarzyło się komuś innemu. Być może zresztą była już kimś innym.

Toby rozmawiał z Jackiem. Widać było, że chwilami musi jeszcze przewycięzać onieśmienie, ale gubił je szybko, nawiązując z ojcem coraz ufniejszy kontakt. A Jack był po prostu wniebowzięty. Uczył się dostosowywać w rozmowie do poziomu dziecka i unikać „dorosłych” komentarzy. Od czasu do czasu spoglądał na Clare, lecz milczała jak zaklęta. Mimo to warto tak było posiedzieć razem z Tobym. Miło, dobrze, normalnie. Przyszło mu nagle do głowy, jak by to było, gdyby miał dzieci ze swojego małżeństwa - i ucieszył się, że ich nie ma. Rozwód to paskudna sprawa, dzieci tylko by jeszcze wszystko komplikowały. Poza tym nie wyobrażał sobie swojej byłej żony w roli matki. Prawdziwą matką była Clare, gotowa walczyć z nim o swego syna.

Było im razem dobrze, to oczywiste, lecz łatwość, z jaką chłopiec go zaakceptował, wskazywała na to, że wchodził w wiek, w którym ważna stawała się też osoba ojca. Jack zastanawiał się, również w związku z tym, kim właściwie jest ów tajemniczy Paul. Toby prawie o nim nie wspominał, często natomiast mówił o Jonesym.

- Czas się szykować spać - oświadczyła Clare, a chłopiec posłusznie wyszedł z pokoju.

- Nie pomagasz mu? - zapytał Jack. - A co z kąpielą? Nie czytasz mu bajki przed snem?

- Ma już pięć lat. Umie się położyć sam.

Zazwyczaj, oczywiście, towarzyszyła Toby'emu aż do zaśnięcia, wiedziała jednak, że jeśli i dziś tak by postąpiła, Jack chciałby się temu choćby przyjrzeć, może nawet pomagać, a tego by już nie zniosła. To był czas, klimat zarezerwowany tylko dla nich dwojga, dla niej i dla Toby'ego. Nie było w nim miejsca dla kogoś obcego, kto usiłował wtargnąć w ich życie.

Pozostawiona sam na sam z Jackiem, poczuła się nieswojo, zaczęła więc sprzątać ze stołu. Widząc, że wziął się do pomocy i z tacą brudnych naczyń wchodzi do kuchni, zirytowała się jeszcze bardziej.

- Co to? - warknęła ze złością. - Żonka tak cię przyuczyła do domowych zajęć?

- Jestem sam. Przyzwyczailem się sprzątać po sobie.

- Naprawdę? - To było głupie, ale nie potrafiła się powstrzymać. - Nie masz nawet nikogo, kto by ci ugotował i uprał? Zawiażujesz sobie fartuszek i biegasz po domu z odkurzaczem? Sam ścierasz kurze i...

Jack chwycił ją za nadgarstek i odwrócił do siebie tak gwałtownie, że upuściła talerze, które rozbiły się z trzaskiem.

- Wiem, że nie życzysz sobie mojej obecności - powiedział, patrząc w jej rozszlószone oczy. - To jasne. Ale czy musisz się tak zachowywać? Takie sprawy wymagają kultury...

- Żebyś kulturalnie, a jakże, mógł wziąć, co nie twoje - ucięła bezwzględnie. - O, nie! Jestem we własnym domu i będę się zachowywać tak, jak mi się spodoba. Czarować to ty możesz Toby'ego, ale nie mnie. Znam cię na wskroś, wiem, jaki jesteś.

- Kiedyś jednak ci się dosyć podobałem.

- Nieprawda. Było mi cię jedynie żal.

- Taka jesteś litościwa? Kładziesz się do łóżka z każdym facetem, którego ci żal? - zadrwił, trzymając ją.

Zamierzyła się wolną ręką, nie spodziewał się jednak, że uderzy pięścią i z całej siły. W ostatniej chwili uchylił się, a wtedy z rozpędu wpadła na niego. Chwycił ją, przykuwając jej ręce do boków. Szarpnęła gniewnie głową i nagle uzmysłowił sobie, że musiała dopiero co umyć włosy. Ich zapach wyostrzył mu zmysły.

- Puszczaj! - syknęła z nienawiścią w oczach. - Gdzieś mam twoją siłę! Nic w ten sposób nie uzyskasz! Damski bokser!

Jack roześmiał się. Żeby jej trochę dokuczyć, a może nawet dać nauczkę, odchylił ją mocno do tyłu. Niech poczuje tę pogardzaną męską siłę! Myślał, że zacznie krzyczeć i szarpać się, a tymczasem znieruchomiała i w jej oczach pojawiła się panika. Przez sekundę nie rozumiał, co się dzieje, ale zaraz... Tak! Uświadomił sobie, że Clare boi się, że będzie ją chciał pocałować. Nie miał takiego zamiaru, lecz nagle tego zapragnął. Miał ogromną ochotę przezwyciężyć jej opór namiętnością i zmusić, by poddała się jego woli.

Natychmiast zwalczył pokusę, ale Clare odczytała ją w jego oczach.

- Nawet nie próbuj! - wydusiła przez ściśnięte gardło.

Źle zrobiła. Nienawidził rozkazów i zakazów, a tym razem z całą pewnością nie zamierzał się podporządkować. Przyciągnął ją do siebie powoli, delektując się jej bezbronnością i swoją siłą, i przytrzymał jej głowę. Nie zamknęła oczu, lecz zaciskając mocno usta, patrzyła na niego tak, jakby chciała go zabić. Od pewnego



czasu nie miał kobiety, a teraz, trzymając ją w ramionach, czuł narastające pożądanie. Opierała mu się całą sobą, napinając mięśnie i prężąc szyję, lecz przyciągnął ją tak blisko, że ich wargi prawie się spotkały. Leciutko dotknął jej ust i... puścił ją.

Niemal straciła równowagę. Spojrzała na niego stropiona.

- Dlaczego tak?

- A wolałabyś, żeby stało się inaczej?

- W ogóle niczego bym nie wolała! To tylko ty postanowiłeś się zabawić. Odstawiłeś swój kiepski teatrzyk z popisową rolą pana i władcy i mną w roli słabej kobietki.

- Czyżby? A może przy okazji wyszło na jaw coś jeszcze, a mianowicie to, że nie walczysz wyłącznie o odsunięcie mnie od Toby'ego. Ty, Clare, walczysz również sama ze sobą.

- Śmieszne!

- Przemyśl to. Przemyśl, dlaczego usiłowałaś przeczyć, że jestem ojcem Toby'ego, dlaczego utrzymujesz, że tamta noc nie miała dla ciebie znaczenia. Byłaś tam przecież. Toby nie został poczęty bez twojego udziału. A teraz usiłujesz walczyć z tym, że nie jestem ci obojętny.

- Wynoś się! - krzyknęła cała czerwona. - Ty draniu! Wynoś się, precz!

- Nie bój się, już idę. - W drzwiach odwrócił się jeszcze. - Powiedz ode mnie dobranoc naszemu synkowi - powiedział cierpko.

Kiedy wrócił do domu, usiadł na moment z zamiarem zajęcia się pracą, ale czuł się tak naładowany, że zaczął froterować podłogę. Rozsadzało go. Był wściekły na Clare, lecz uświadamiał sobie, że to nie tylko to. Potrzebował kobiety. Było jeszcze dosyć wcześnie, dałoby się zadzwonić do jakiejś miłej znajomej, zabrać ją do nocnego klubu, a potem - być może - do łóżka.

Sięgnął po telefon, sprawdził numer, zaczął go wykręcać i... zrezygnował. Clare...

Niemal poczuł, jak pręży się w jego rękach, wroga, spanikowana. Powinno go to podrajcować jeszcze bardziej, a tymczasem nie wiadomo dlaczego odechciało mu się nagle nocnych wypadów i amorów. Wiedział, że seks przyniosłby chwilowe fizyczne ukojenie, lecz pragnął czegoś więcej. Powoli odłożył słuchawkę.

Tej nocy Clare prawie nie spała. Przygotowała pisemną skargę, z którą z samego rana w poniedziałek zamierzała pojechać do sądu. Kiedy jednak przy śniadaniu doręczono pocztę, zrozumiała, że jest już za późno. Sąd przyznał Jackowi prawo widywania się z synem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Widywanie się to jeszcze nie wychowywanie, tego mu nie przyznali - powiedziała do Paula, gdy w przerwie spektaklu w The Royal Opera House raczyli się szampanem i kanapeczkami z łososiem. - Powinnam być chyba zadowolona, ale wolałabym, żeby i tego mu odmówiono.

- Będziesz się zapewne odwoływać...

- Tak, ale to potrwa, a w tym czasie Toby przyzwyczai się do spotkań.

- Jak dokładnie brzmi orzeczenie sądu?

- Straker ma prawo widywać się z synem raz w tygodniu, rano lub po południu. Jeśli chcę - a oczywiście chcę - mogę przy tym być. Sąd ponownie określi swoje stanowisko dopiero po upływie sześciu miesięcy, chyba że do tego czasu zmieniałby się moja sytuacja, to znaczy, jak mi wyjaśnił adwokat - wyszłabym za męża. Z punktu widzenia prawa Toby miałby pełną rodzinę i nie potrzebowałby już tak bardzo ojca... Wiesz - westchnęła ciężko - czasem myślę, że zwariuję. Byliśmy oboje tacy szczęśliwi, zanim to wszystko się stało. I nagle jakiś urzędas uznaje, że Toby jest nieszczęśliwym dzieckiem, ponieważ brakuje mu męskiej ręki.

- Zamierzasz więc... wyjść za męża? Niecierpliwie pokręciła głową.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Czemu się aż tak odzegnujesz? - Patrzył na nią zauroczony.

- Jest mi całkiem dobrze tak, jak jest. - Uśmiechnęła się lekko. - A poza tym mam na głowie firmę... Wiesz, ile to wymaga zachodu. Nie sądzę, żebym znalazła czas na inne sprawy... Niepotrzebny mi mąż. Wystarczy mi... no, ktoś taki jak ty, kto od czasu do czasu zechce spędzić ze mną miły wieczór.

Chętnie dzieliłby z nią znacznie więcej, ale nie miał złudzeń. Nie była w nim zakochana. Lubiła go, czuła się dobrze w jego towarzystwie, ale nic ponadto. Gdyby zaproponował jej małżeństwo, roześmiałaby mu się w nos. Chyba że... Nagle przyszło mu do głowy coś, co przez cały drugi akt nie dawało mu się skupić, ale nie powiedział jej o tym.

Następnego dnia Jack miał spędzić cały ranek z Tobym. Ustalili, że dniem najodpowiedniejszym na spotkania będą soboty. Zadzwoił wcześniej z propozycją, żeby wybrać się gdzieś, zamiast siedzieć w domu. Zgodziła się, myśląc, że pojedą do zoo albo w podobne miejsce, ale posłał po nich samochód, a sam czekał u celu wycieczki, w Tower.

- Będziemy zwiedzać Tower? - zapytała, wiedząc, że Toby już tam był.

- Nie. - Jack pokazał na rzekę. - Pójdziemy obejrzeć most.

Wjechali windą, żeby się przejść i z górnego pomostu popatrzeć na Tamizę, a potem zjechali do pomieszczenia, w którym znajdowały się maszyny, używane niegdyś do podnoszenia i opuszczania zwodzonego mostu. Toby od razu zasypał Jacka pytaniami.

Odpowiadał mu cierpliwie i ze znużeniem wyjaśniał szczegóły. Clare przyglądała się im z pewnego dystansu. Nie przyszłoby jej do głowy zabrać Toby'ego w takie miejsce, choćby z tej prostej przyczyny, że sama nie miała zielonego pojęcia o konstrukcji mostów. Nietrudno było zauważyć, że chłopczyk jest zafascynowany ogromnymi maszynami, a także samym Jackiem. Pozwolił mu się podnieść, żeby lepiej widzieć, i objął go za szyję. Czując to, Jack spojrzął na niego i uśmiechnął się. Wiedziała, że ten moment zapamięta na całe życie. Pojęła nagle, że Toby nigdy już nie będzie tylko jej, że w tej chwili przelewa jakąś część swojej miłości na ojca i że więź, jaka ich łączyła, nigdy już nie będzie taka jak dawniej.

Miała uczucie, że się dusi. Jack nie zasłużył sobie niczym na miłość tego niewinnego dziecka. Był absolutnym egoistą, nie cofającym się przed okrucieństwem, gdy było mu to na rękę. Jakież musiało być jego życie osobiste, skoro doprowadził do rozwodu... I taki człowiek chciał odebrać jej dziecko!

- Clare?

Dopiero teraz zauważyła, że do niej podszedł. Odwróciła się i wyczytała z jej twarzy wszystko.

- Dlaczego? Czemu mnie aż tak nienawidzisz? - zapytał szorstko.

- Dobrze wiesz.

- Jesteś zazdrosna, tak? Nie możesz znieść myśli, że musisz się nim dzielić... że jest mu dobrze nie tylko z tobą... Prawdziwe szczęście, że dowiedziałem się o jego istnieniu, bo inaczej jeszcze byś go całkowicie uzależniła od siebie. Chciała odejść, ale chwycił ją za łokieć.

- O co ci chodzi? Taki z ciebie tchórz, że nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy?

- Nie mam zamiaru z tobą dyskutować. Widzisz tylko to, co chcesz widzieć.

Zaczęłyby się kłócić na dobre, gdyby nie Toby, który zbliżył się i wziął matkę za rękę.

- Wiesz co, mamusiu? A może bym kupił prezent dla Jonesy'ego? Niedługo będą jego urodziny...

- Dobrze, chodźmy. - Strząsnęła rękę Jacka i poszła z Tobym do sklepiku z pamiątkami.

Jack ruszył za nimi, ale nie wszedł do środka, a tylko stanął w drzwiach.

Sklepik obsługiwały dwie młode dziewczyny. Wyglądały na dorabiające sobie studentki. Zaczęły między sobą szeptać i do uszu Clare dobiegły strzępki ich rozmowy i chichoty.

- Jestem pewna, że to on... Widziałam jego zdjęcie w gazecie... Ale przystojny!

Uświadomiła sobie nagle, że mówią o Jacku. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi, choć zachowywały się wręcz ostentacyjnie. Ciekawe, co je w nim tak podniecało.

Sława, bogactwo, a może... może po prostu im się podobał.

Było to dziwne, ale nie przypominała sobie, żeby w ciągu tych kilku długich zimowych dni, które przyszło im kiedyś spędzić razem, jakoś szczególnie ją pociągał. Ich zbliżenie wyniknęło z sytuacji. Bardzo potrzebował wtedy ukojenia, a tylko ona mogła mu je dać. Przemienne współczucie ustąpiło jednak zaraz potem namiętności i czemuś budzącemu się w jej sercu, czego nigdy wcześniej nie zaznała. Tamtej nocy, będąc w ramionach Jacka, poczuła iskrę, która mogła przerodzić się w płomień trwający całe życie. Jednakże rankiem następnego dnia zabił to uczucie. Zmrożone serce odtajało w niej dopiero wtedy, gdy urodził się Toby.

Chłopczyk zastanawiał się długo nad wyborem prezentu, w końcu jednak poprosił o model mostu i zapłacił. Mieli już wychodzić, gdy jedna z ekspedientek zawołała za nim, pokazując samochodzik, który Toby wyciągnął z kieszeni razem z portmonetką.

- Czy to twoje?

- Dziękuję. - W odpowiedzi wyręczył chłopca Jack. - To własność mojego synka.

Clare domyśliła się, że użył słowa „mój” celowo. Uśmiechnęła się do niego zimno.

- Nigdy nie będzie twój - syknęła jadowicie już po wyjściu ze sklepiku. Czuła, że jest gotowa na wszystko, absolutnie wszystko, żeby to była prawda.

Zaprosił ich na lunch, odmówiła jednak i nie nalegał.

- W takim razie przywołam kierowcę. Niech was podrzuci do domu.

- Dziękuję, weźmiemy taksówkę.

Ledwie podniosła rękę, już jedna zatrzymała się przy nich. Spojrzał na nią z wyrzutem, lecz zignorowała to. Zawołała Toby'ego, ale chłopiec odwrócił głowę do Jacka.

- Bardzo ci dziękuję, że zabrałeś mnie i mamusię na wycieczkę - powiedział grzecznie.

- Nie ma za co, Toby. - Jack wzburzył mu włosy. - Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

- Dokąd pojedziemy?

- Poczekaj, sam się przekonasz. To niespodzianka. Toby rozpromienił się, wsiadł do taksówki i od razu ukląkł na tylnym siedzeniu, żeby pomachać Jackowi zza szyby. Kiedy ruszyli, Clare odetchnęła z ulgą i miała już powiedzieć kierowcy, żeby wiozł ich prosto do domu, gdy

nagle uzmysłowiła sobie, że na parę godzin udostępniła mieszkanie Tanyi i jej przyjacielowi. Kazała się więc zawieźć do swego sklepu. Stamtąd od razu zatelefonowała do Paula.

- Uspokój się - przerwał, gdy zaczęła ze złością opisywać mu przebieg poranka. - Zaraz do ciebie wpadnę i pojedziemy razem na lunch.

- Nie powinnam się już nigdzie włóczyć. - Westchnęła ciężko. - Mam mnóstwo roboty.

- W takim razie kupię po drodze jakieś sandwicze i zjemy je u ciebie.

Sandwicze Paula okazały się kosztem smakołyków od Harrodsa. Odpowiadało to podniebieniu Clare, która uwielbiała pasztety, kawior z białugi, kurczaka na zimno i szampana, ale Toby ledwie co skubnął. Poinformował też Paula, że jego tatuś nie musi kupować takiego dziwnego jedzenia, ponieważ umie zamówić przez telefon pizzę, co powiedziawszy wybiegł z gabinetu i zniknął w sklepie, gdzie zawsze był oczkiem w głowie całego damskiego personelu.

- Wygląda na to, że Straker oczarował twojego małego - zauważył sucho Paul. Kiwnęła głową. Bezsprzecznie.

- Tak, ale ja nie chcę, żeby się zanadto żyli - powiedziała zirytowana i zgnębiona. - Muszę wymyślić coś, co zmusi sąd do zmiany decyzji. Gdyby tak Jack był na przykład zamieszany w jakąś aferę... O tak, to by mi się przydało.

- Mało prawdopodobne. Jedynym skandalem w jego życiu, jeśli w ogóle można to tak nazwać, był rozwód. Ale po prawdzie niczego się w tej sprawie nie dogrzebiemy - dodał niemal z żalem. - Nie było nawet trójkąta. Po prostu miał jej dość.

- A w jego działalności zawodowej nic się nie znajdzie? Nie słyszałeś żadnych plotek? Może były jakieś bibki, próby skorumpowania kogoś...

- Niestety. - Paul rozsmarował kawior na cieniutkim płatkulku bułki. - Jest do obrzydliwości czysty.

- Prywatnie też? Nie zaangażował się w jakiś sekretny romansik? Może wynajmę detektywa, niechby trochę za nim połąził.

Paul spojrział jej prosto w oczy.

- Przykro mi to mówić, Clare, ale jedyną niewygodną tajemnicą w życiu Strakera byłaś ty.

- Może to i prawda, nie wiem, ale muszę coś zrobić. Nie będę dłużej tolerowała tego, co się wyprawia.

- Mhm... Jedno zawsze możesz zrobić.

- Co?

Dolał jej szampana.

- Wyjść za mąż - powiedział, nie patrząc na nią.

- Nie chcę wychodzić za mąż.

- Nawet po to, żeby na zawsze odsunąć Strakera od Toby'ego?

- Może to i byłoby wyjście... - Sięgnęła po kieliszek i roześmiała się. - Tylko jakoś nie widzę mężczyzny, który chciałby ożenić się ze mną wyłącznie dla takiego celu.

Paul również uniósł kieliszek.

- Jestem gotów - powiedział zdecydowanie.

- Ale... - Zachnęła się zaskoczona.

- Wiem, wiem, takich „ale” uzbierałoby się całe mnóstwo. Po pierwsze, nie kochasz mnie. Po drugie, nie chcesz się wiązać. A po trzecie, i to może jest najistotniejsze, nie pociągam cię, no wiesz... fizycznie.

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Jej milczenie potwierdzało jedynie to, co i tak wiedział, i choć nie było to dla niego przyjemne, ciągnął dalej:

- Jestem tego wszystkiego świadom. Chcę ci jednak pomóc, tobie i dziecku, a jeśli Straker chociaż raz w życiu będzie się miał z pyszna, to - nie ukrywam - tym większa będzie moja satysfakcja. Dasz mi z siebie, Clare, tylko tyle, ile zechcesz. Nie musisz odpowiadać już teraz. Daj po prostu znać, jak już podejmiesz decyzję.

Wstał, jakby nagle zaczęło mu się spieszyć, lecz chwyciła go za rękę:

- Jestem ci bardzo wdzięczna, Paul. Naprawdę.

Po nie przespanej nocy, podczas której rozważyła wszelkie „za” i „przeciw” i doszła do wniosku, że byłoby wręcz śmieszne, gdyby taką propozycję odrzuciła, zatelefonowała więc do Paula i przyjęła jego oświadczenia. W ciągu następnej godziny, chociaż była to niedziela, mieszkanie utonęło w kwiatkach, a zaraz potem zjawił się on sam obładowany prezentami. Dla Toby'ego były wyszukane zabawki, a dla niej prześliczny, stary pierścionek z diamentem. Wzniesli toast, po czym Clare spróbowała wyjaśnić Toby'emu, że Paul będzie jego nowym tatą.

- Ale ja już mam swego tatę - zaprotestował. - Czy można mieć dwóch tatusiów?

- Może lepiej, jeśli na początek będę dla niego wujkiem - zaproponował Paul, gdy chłopiec poszedł się bawić, lecz kiedy po godzinie zostali sami, Toby odłożył na bok wszystkie kosztowne zabawki i pochmurnie spojrzał na matkę.

- Czy Paul musi być moim nowym tatą? Wolę pana Strakera.

- Ale Paula znasz dłużej, skarbie. Jest naprawdę bardzo miły.

Toby wyjął kredki i usiadł przy stole.

- To będzie rysunek dla mojego prawdziwego tatusia - powiedziała z zaciętą miną.

Informacja o ich zaręczynach ukazała się w najpoczytniejszych gazetach już następnego ranka i natychmiast podchwyciły ją popołudniówki. Clare musiała zrobić wycenę mebli w pewnym wystawionym na sprzedaż domu na wsi, toteż nie miała pojęcia o zamieszaniu, jakie te wzmianki wywołały.

Dopiero kiedy skontaktowała się ze swym personelem, dowiedziała się, że przez cały dzień nie milkną telefony, a reporterzy oblegają sklep. Zrobiło się takie zbiegowisko, że musiała interweniować policja. Telefonował też dozorca budynku, w którym mieszkała. Tam również czyhali na nią dziennikarze.

- Och Boże - jęknęła Clare, wiedziała jednak, że musi uzbroić się w cierpliwość i przeżyć jakoś następne parę dni, po czym prasa da jej spokój i zajmie się swoją kolejną ofiarą. Pojechała prosto do szkoły po Toby'ego i szybko wsadziła go do samochodu, lecz przed budynkiem czekała już cała sfera.

Wzięła synka mocno za rękę i ruszyła do wejścia, uciekając wścibskim reporterom. Kilku z nich jednak zachowywało się wyjątkowo natarczywie. Błyskały flesze. Próbowano nie dopuścić jej do drzwi. Dozorca otworzył je natychmiast, lecz przejście zatarasowała jakaś dziennikarka.

- Co o pani zaręczynach myśli Jack Straker?! - krzyknęła jej niemal w twarz.

- Nie pani interes! - Za plecami Clare rozległ się mocny głos Jacka. Toby natychmiast znalazł się w jego objęciach, silne ramiona utorowały przejście, a dozorca zatrzaskał drzwi przed nosami reporterów. Byli wolni. Clare odwróciła się, żeby odebrać syna, lecz dała spokój, widząc, co dzieje się z Jackiem. W jego pociemniałych, zimnych jak lód oczach palił się gniew. Chłopiec przywarł do niego mocno, nie bardzo wiedząc, czy jest się jeszcze czego bać, czy też należy uznać to za przygodę. Dopiero w mieszkaniu Jack delikatnie rozplótł obejmujące jego szyję rączki i postawił Toby'ego na podłodze.

- Całkiem ładny rysunek - powiedział, patrząc na stół. - To dla mnie?

- Tak, ale jeszcze nie skończyłem.

- Pokaż.

Dbając przede wszystkim o spokój chłopca, Jack panował nad sobą, chociaż rozsadzał go straszliwy gniew. Dopiero gdy Clare dała Toby'emu pić i chłopczyk, zapomniawszy o gwałtownym zajściu, zajął się rysunkiem, wstał i poszedł do kuchni. Oparł się o ścianę i z założonymi na piersiach rękami czekał.

- W porządku - rzuciła lodowato, zamykając za sobą drzwi, żeby Toby nie mógł ich słyszeć. - Mów, co masz powiedzieć... i do widzenia.

- Jeśli sądzisz, że spławisz mnie tak łatwo, to się grubo mylisz. - Odepchnął się od ściany i podszedł do niej tak, żeby odczuła jego bliskość.

- Jak mogłaś się tak poniżyć? - syknął.

- O czym ty...

- Bardzo dobrze wiesz, o czym. Jak mogłaś zaręczyć się z kimś, kogo nie kochasz, tylko po to, żeby zrobić mi na złość?

- Masz chyba urojenia. A jeśli chodzi o Paula - dodała z rozpaczliwym uporem - to po prostu szaleję za nim.

- Szalejesz, fakt, ale nie za nim, tylko z powodu orzeczenia sądu. Nigdy bym nie pomyślał, że potrafisz być taka mściwa.

- Niczego o mnie nie wiesz - powiedziała zimno, z wypiekami na twarzy.

- Bardzo możliwe. Ale jedno wiem na pewno: Venton absolutnie nie nadaje się ani na ojczyma Toby'ego, ani na twojego męża.

- Jak śmiesz! To miły, wykształcony, kulturalny człowiek. Będzie wspaniałym mężem i ojcem.

- Bzdura! Zaproponował ci małżeństwo wyłącznie dlatego, że jest moim wrogiem! Czy prosił cię o rękę, zanim ja pojawiłem się na horyzoncie? No, słucham.

- Nie twoja sprawa!

- Czyli że cię nie prosił! - Jack nie panował już nad sobą. Chwycił ją mocno za ramię.

- Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że robi to tylko po to, żeby mi dopiec? Że tobą manipuluje?

Clare zbladła.

- A na manipulowaniu ludźmi to już ty się znasz najlepiej - wyszczała zjadliwie. - Dziwne, że z taką wiedzą nie napisałeś jeszcze poradnika.

W jej oczach było tyle nienawiści, że aż to nim wstrząsnęło. Powstrzymał ciętą odpowiedź, która cisnęła mu się na usta, i nagle w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- A więc to tak - powiedział wolno. - Myślisz, że wtedy, przed laty, wykorzystałem cię. Czy dlatego tak mnie nienawidzisz?

- Dobry powód, nie uważasz? - Spróbowała mu się wyszarpnąć, ale jej nie puszczał.

- Bardziej już nie możesz się mylić. To, co wtedy stało się między nami...

- ...to był seks - przerwała ze złością. - Ale nie taki sobie zwyczajny. Znalazłam się w twoim domu, a ty to wykorzystałeś, a potem... potem nagle przypomniałeś sobie, że masz żonę, i jak najszybciej mnie spławiłeś.

Była zbyt zdenerwowana, żeby zapanować nad emocjami i ustrzec się goryczy w głosie.

- Chcesz powiedzieć - popatrzył w jej twarz - że dla ciebie nasze zbliżenie znaczyło więcej niż seks? Czy to dlatego jesteś taka...

Bojąc się, że się zdradziła, że odkrył jej najgłębsze uczucia, Clare spróbowała odepchnąć go od siebie.

- Nie bądź śmieszny! - krzyknęła. - To nie miało dla mnie żadnego znaczenia.

Absolutnie żadnego!

- Nie wierzę.

- To prawda!

- Prawda?! Zaraz to sprawdzimy. - Szorstko przyciągnął ją i pocałował.

Znieruchomiała na moment, a potem zaczęła się rozpaczliwie szarpać.

- Ty świnió! - Oswobodziła na moment usta, ale zaraz znowu zmiażdżył je wargami.

Kiedy poczuł, że go ugryzła, zamruczał i roześmiał się zwyczajnie, napierając coraz mocniej.

W oczach Clare pojawiły się łzy bezsilnej wściekłości. Nie potrafiła oswobodzić się z jego ramion, a przede wszystkim uwolnić od narastającej fali własnych uczuć. Znała je dobrze i nienawidziła jak najgorszego wroga. Sądziła, że dawno już je pokonała, ale teraz wróciły z nową mocą, by zawładnąć jej zmysłami i zmusić do uległości wobec požądania, którego ukojenie potrafiła znaleźć tylko w ramionach Jacka.

Z najwyższym wysiłkiem wyszarpnęła głowę i głośno, w panice, krzyknęła:

- Toby!

I oto jej syn, jej rycerz, biegł już na ratunek. Wpadł do kuchni i zatrzymał się zaskoczony, niepewny, co powinien zrobić. Jack oniemiał.

- Puść mnie! - zażądała zimno. W oczach miała jeszcze przerażenie, na twarzy mocne rumieńce. Odgarnęła z twarzy rozczochrane włosy.

Jack zamrugał, ale zamiast zrobić to, co mu kazała, przyciągnął ją znowu do siebie i pocałował - tym razem nie gwałtownie, lecz miękko, gorąco, jakby chciał sięgnąć po jej duszę.

- Idź! - wymruczała z rozpaczą.

Dwie małe rączki wczepiły się w nogawkę spodni Jacka i usiłowały go odciągnąć.

- Zostaw moją mamusię!

Powoli, niechętnie puścił ją. Przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Jack podniósł Toby'ego do góry i na moment posadził go sobie na barana.

- Ach, ty diabełku! - roześmiał się, uchylając się przed okładającymi go wciąż piąstkami. - Zgoda. Obiecuję, że więcej już nie pocałuję twojej mamy. Chyba że - dokończył miękko, patrząc na nią - sama tego zechce.

- Nigdy - powiedziała cierpko. - A teraz się wynoś. Jack zdjął Toby'ego z ramion i objął go serdecznie.

- A co do Ventona - zaczął, nie spuszczać z niej oczu - to nie wolno ci...

- Bierzemy ślub - przerwała. - Najszybciej, jak się to uda zorganizować.

Widząc, że wszelkie argumenty z jego strony mogą jedynie pogorszyć sytuację, pożegnał się i z ciężkim sercem wyszedł. Czuł, że musi przemyśleć wiele spraw, związanych nie tylko z zaręczynami czy małżeństwem Clare.

Niezdolność zainteresowanie prasy trwało jeszcze kilka dni. Clare starała się pokazywać jak najmniej, a na weekend, ignorując całkowicie prawo Jacka do sobotnich spotkań z synem, wywiozła Toby'ego nad morze. O tym, dokąd jada, powiedziała wyłącznie Jonesy'emu.

Kiedy skończyła dwadzieścia jeden lat, odziedziczyła pewne pieniądze, zapisane jej przez dziadków. Finansowała z nich swoje krótkie a częste wypady z Tobym nad morze czy na wieś. Nagle uświadomiła sobie, że już niedługo nie będzie mogła robić wszystkiego, co się jej zamarzy. Trzeba będzie, choćby przez grzeczność, konsultować każdy zamiar z Pauliem... Chyba nie bardzo by mu odpowiadało spędzanie urlopu na rodzinnej wsi... pewnie wolałby willę na wyspach Bahamy, luksusową chatę w Szwajcarii albo coś równie ekstra. Venton wśród kur i gęsi? Nie, to niemożliwe... Przygryzła wargę. Nie miała prawa myśleć o Paulu w ten sposób. Lubiła go, szanowała, pomagał jej wybrnąć z kłopotliwej sytuacji... Dlaczego więc myślała o nim tak niechętnie?

Wróciła znad morza z jeszcze twardszym postanowieniem, że wykluczy Jacka z ich życia. Telefonował do niej kilkakrotnie w czasie weekendu. Wiedziała o tym jeszcze przed powrotem, ponieważ miała możliwość automatycznego przesłuchiwanie nagrań z domowego telefonu, ale nie oddzwoniła osobiście, a tylko poprosiła swoją sekretarkę ze sklepu, żeby przesłała mu krótkie wyjaśnienie.

W kolejną sobotę, kiedy przyjechał po nią i Toby'ego, otworzył mu Jonesy, mówiąc, że ma towarzyszyć dziecku zamiast niej. Pojechali nad zapórę. Jonesy z przyjemnością zaszył się w herbaciarni, toteż Jack miał chłopca tylko dla siebie.



Było to dla nich nowe i niezwykle doświadczenie, Jack jednak nie potrafił uwolnić się od dziwnego uczucia, że czegoś mu brakuje. Nie czegoś zresztą, a kogoś. Po prostu Clare.

- Czy mama wybrała się gdzieś z Paulem?

- Tak. - Toby rzucił ojcemu spojrzenie, w którym błysnęło coś w rodzaju satysfakcji. - Ale teraz nie może już wyjść za niego za męża, prawda?

- A to dlaczego?

- Jak to dlaczego? Przecież się z nią całowałeś - odparł Toby z rozbijającą logiką. Jack wybuchnął śmiechem.

- No chodź, ty mój mężczyzno. Zasłużyłeś na duże lody.

Zastanawiał się, kiedy i czy w ogóle zobaczy jeszcze Clare. Ale zobaczył - i to nie tylko ją, ale i Ventona - zaledwie parę dni później na bankiecie w Guildhall, na który burmistrz Londynu spraszał raz do roku całą śmietankę stolicy. Jack pierwszy spostrzegł Ventona. Stał sam w holu.

- O, Straker, witam - powiedział jowialnie i z błyskiem triumfu w oczach, choć do tej pory przy wszelkich spotkaniach zwracał się do niego zawsze z powściągliwą uprzejmością. - Słyszę, że nie pochwalasz moich zaręczyn z Clare.

- Zgadza się - odrzekł spokojnie Jack.

- Nie przejmuj się, chłopie. Zajmę się Tobym jak należy. Otrzyma najlepsze wykształcenie i wszystko co trzeba.

Celowo puszył się swoim zwycięstwem, wiedząc, że musi ono głęboko upokarzać Strakera. Miał nawet ochotę sprowokować go do jakiejś nierozważnej wypowiedzi lub działania, Jack jednak tylko się uśmiechnął.

- Nie wątpię. Do głowy by mi nie przyszło, że mogłoby być inaczej - powiedział, patrząc mu przez ramię.

Venton odwrócił głowę i zobaczył Clare. Wyszła z szatni i zmierzała w ich kierunku. Wyglądała olśniewająco. Miała na sobie mocno dopasowaną do figury ciemnoczerwoną suknię na ramiączkach. W rozcięciach przy każdym kroku odsłaniały się kształtne nogi. Ściągnięte do tyłu, elegancko upięte włosy nadawały jej chłodny, wytworny wygląd. Z taką kobietą u boku każdy mężczyzna mógłby się czuć jak paw.

Paul nie krył dumy. Kiedy podeszła, władczo ujął ją za rękę i podniósł jej dłoń do ust. Uśmiechnęła się do niego leciutko, lecz zaraz jej wzrok spoczął na Jacku.

Zauważył, że jest nieco spięta. Nie mógł jednak wiedzieć, że to na jego widok mocno zabiło jej serce i że opanowanie kosztowało ją bardzo wiele.

- Widzę, że przyglądasz się pierścionkowi... - Przytrzymując dłoń Clare, Venton zwrócił się do Jacka. - Podoba ci się? To stara robota.

Jack podniósł wzrok.

- Nie było cię stać na nowy? - zapytał bez emocji i oddalił się, nie dając Paulowi czasu na odpowiedź.

Podczas wieczoru siedzieli po przeciwnych stronach ogromnej sali bankietowej. Po wytwornej kolacji złożonej z wielu kolejnych dań rozpoczęły się mowy; miało ich być dużo. Już podczas jednego z pierwszych wystąpień Jack spostrzegł, że do Clare podszedł lokaj i wręczył jej jakąś kartkę. Powiedziała coś do Paula i zamierzała

wstać, lecz Venton przytrzymał ją. Przez chwilę spierali się o coś szeptem, po czym Clare podniosła się zdecydowanym ruchem i dyskretnie opuściła salę. Paul został, a jego naburmuszona mina świadczyła o tym, że jest wściekły. Jack natychmiast przeprosił swoje grono i wyszedł. Dogonił Clare już przy wyjściu. Zapinała płaszcz, prosząc odźwiernego, by przywołał dla niej taksówkę.

- Co jest? - zapytał ostro. - Toby zachorował? Spojrzała na niego zaskoczona i pokręciła głową.

- Nie. Chodzi o Jonesy'ego. Dziś są jego urodziny i poszedł w tango. Muszę go znaleźć, nim zgarnie go policja. Rada schroniska zapowiedziała, że jeśli jeszcze raz zostanie zatrzymany, wyrzucą go na bruk. - Rozejrzała się niecierpliwie za taksówką.

- Gdzie chcesz go szukać?

- Ma pewne swoje ulubione puby. Może być też nad rzeką, tam gdzie mieszkają bezdomni.

U zbiegu ulic ukazała się taksówka i odźwierny podniósł rękę, żeby ją przywołać, ale Jack rzekł stanowczo:

- Sama tam nie pojedziesz, zwłaszcza w takim stroju. Weźmiemy moje auto.

- Nie mam czasu...

Jack dzwonił już jednak ze swego telefonu komórkowego, a parę minut później zajechał samochód.

- Poprowadzę sam - powiedział szoferowi, zajmując miejsce za kierownicą. - Dokąd jedziemy najpierw?

Podala mu nazwę pubu i wyjaśniła, gdzie to jest. Prowadził spokojnie, bezpiecznie. Najwyraźniej znakomicie znał Londyn, co umożliwiało mu jazdę bocznymi ulicami i omijanie zatłoczonych arterii. Kiedy dojechali na miejsce, chciała wysiąść, ale się na to nie zgodził.

- Zaczekaj tutaj.

Nie spierała się z nim. Był to pub, do którego przychodzili głównie robotnicy i tak zwany element. Można się było nasłuchać obelżywych uwag i niedwuznacznych propozycji. Jack narzucił na wizytowy garnitur płaszcz, wszedł do środka i wrócił za parę minut.

- Nie ma go tutaj. Właściciel go nie widział.

Z równym skutkiem objechali cztery dalsze knajpy.

- No, to klops - westchnęła Clare. - Wszystko przez tę przeklętą babę ze schroniska! Żeby ją szlag trafił!

- Jaką babę?

- Taką świętoszkę, która czasem przychodzi tam do pomocy. Dałam Jonesy'emu butelkę słodowej whisky, żeby wypił w swoim pokoju. Żeby nigdzie nie chodził i nie narobił sobie kłopotów. Ta baba znalazła ją jednak i zabrała, bo to - jak powiedziała - niezgodnie z przepisami. No więc, oczywiście, wyszedł się upić na miasto.

- A musi się w ogóle upijać? - zapytał łagodnie Jack.

- Niestety. To jest dla niego szczególny dzień. W dniu urodzin poznał swoją przyszłą żonę i w dniu urodzin się ożenił. Żona przywiązywała do kolejnych rocznic wielką wagę, zawsze obchodzili je z pompą gdzieś na mieście. To był ich najwspanialszy

dzień w całym roku. Jonesy nie jest w stanie znieść tych wspomnień, więc się upija. Ty tego nie zrozumiesz, ale...

- Przestań! - uciał. - Setki razy kusilo mnie, żeby zalać robaka.

Mocny profil jego pociągłej twarzy rysował się wyraźnie w mijanych światłach ulic. Uświadomiła sobie nagle, jak niewiele wie o jego uczuciach, z wyjątkiem tych, które wiązały się z Tobym. Czy tak bardzo ciągnął do syna, bo był samotny? Czy chęć zapicia się nachodziła go wtedy, gdy rozszedł się z żoną? Była pewna, że potrafił oprzeć się pokusie, ale... Czy nie powodowało to jakiegoś zlodowacenia serca i umysłu, czegoś, co jeszcze trudniej znieść? Po śmierci ojca poszukał ucieczki w niej. Do kogo zatem zwrócił się po rozwodzie?

Wjechali w ciemne uliczki pod olbrzymim wiaduktem. W zaułkach bezdomni urządzili tutaj swoje własne miasteczko. Jack zatrzymał samochód w pewnej odległości i wysiadł.

- Idę z tobą - powiedziała zdecydowanie. - Byłam już tu kiedyś, gdy szukałam Jonesy'ego. Parę osób stąd mieszkało w schronisku. Znają mnie, zechcą porozmawiać.

- W porządku - zgodził się, wiedząc, że spieranie się z nią byłoby jedynie stratą czasu. - Ale najpierw ściagnij tę błyskotkę z palca.

Clare włożyła pierścionek do torebki, wrzuciła ją do samochodu i zatrzasnęła drzwiczki, a następnie, szczelnie owijając się płaszczem, pobiegła za Jackiem uliczką w stronę pierwszej sterty tekturowych pudeł, która dla kogoś była domem. Ujęci uprzejmością i tym, że ktoś autentycznie martwi się o osobę z ich środowiska, bezdomni pomogliby chętnie, lecz nikt nie przypominał sobie, żeby widział Jonesy'ego.

Podobnie zareagowali mieszkańcy dwóch następnych kartonowych nor, ale w czwartym z kolei miejscu mieli wreszcie trochę więcej szczęścia. Mężczyzna, który kiedyś mieszkał w schronisku, widział Jonesy'ego na wiodącym wzdłuż Tamizy nadbrzeżnym pasażu. Czym prędzej wrócili do samochodu. Jack jechał powoli nabrzeżem, wypatrując starego. Wreszcie dostrzegli go na jednej z ozdobnych żelaznych ławeczek. Z dwóch przeciwnych kierunków właśnie podchodzili do niego dwaj policjanci.

- Jest tam! Stań! - Clare wyskoczyła z jadącego jeszcze samochodu, podbiegła do Jonesy'ego, wyrwała mu butelkę z ręki i cisnęła nią przez mur do rzeki, po czym posadziła go prosto i usiadła obok, żeby go podeprzeć.

- Jakież problemy, panienko? - zapytał jeden z policjantów.

- Nie. Tak sobie tylko siedzimy. Miło jest wieczorem pooddychać nad rzeką.

Policjant spojrział podejrzliwie na Jonesy'ego, który niestety otworzył jedno oko i zabelkotał:

- Dziś są moje urodziny, młody człowieku.

- Wszystkiego najlepszego. - Policjant pochylił się, żeby powąchać jego oddech, ale Clare zasłoniła ręką twarz starego. - Ojciec jest przeziębiony. Chyba nie chce się pan zarazić.

- Czy już mu lepiej, kochanie? - zawołał Jack, szybko podchodząc do ławki. - Możemy jechać? Powinien jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Kiepska sprawa, sierżancie,

złapać grypę w starszym wieku. Biedak przegrzał się trochę i wyszedł na mały spacer. - Machnął w stronę hotelu „Savoy”, dając do zrozumienia, że tam mieszkają. - Wracajmy już lepiej. - Uśmiechnął się. - Może zechcielibyście panowie pomóc mi przetransportować staruszka do samochodu?

Jack w istocie musiał mieć jakieś czarodziejskie umiejętności, gdyż policjanci pomogli zataścić Jonesy'ego na tylne siedzenie, po czym, z uszanowaniem życząc im dobrej nocy, odeszli.

- Boże mój, Clare, ależ on śmierdzi. Upił się jakimś sikaczem - odezwał się ze zgrozą Jack, kiedy już bezpiecznie odjechali.

Clare zaniósła się śmiechem.

- Myślisz, że naprawdę ci uwierzyli, że był z nami w „Savoyu” na kolacji?

- W takich łachach? No, coś ty! - Uśmiechnął się szeroko. - Bardzo się jednak cieszę, że nie przyszło im do głowy odeskortować nas aż do hotelu.

- Może pomyśleli, że to jakiś milioner-ekscentryk. Tak czy owak chwała Bogu, że zdążyliśmy go znaleźć na czas. Byłoby strasznie, gdyby znowu obudził się w areszcie, a co gorsza stracił miejsce w schronisku. Prześpi się u mnie, a jutro wróci tam jak gdyby nigdy nic. Biedny stary!

- Bardzo go chyba lubisz... - Jack jechał teraz dużo wolniej i mógł zerknąć na nią. - Udałaś nawet, że to twój ojciec. A co jest z twoimi rodzicami? Nigdy o nich nie mówisz.

Milczała przez chwilę. Nagle przypomniała sobie, że Jack jest przecież jej wrogiem, lecz odgoniła od siebie tę myśl lekkim wzruszeniem ramion i powiedziała:

- Bo ich nie pamiętam. Zginęli w wypadku, kiedy byłam małeńka. Wychowali mnie dziadkowie. Byli już niemłodzi, ale bardzo ich pokochałam. Rozumieliśmy się...

Kiedy jednak i oni umarli, musiałam się przenieść do wujostwa, starej, bezdzietnej pary...

- Było ci u nich bardzo źle? - zapytał, słysząc, że umilkła. - Dlatego uciekłaś?

- Tak. Moje pragnienie niezależności kłóciło się z ich wyobrażeniem o wychowaniu młodej dziewczyny. Chciałam być sobą. Uciekłam więc do Londynu i kiedy skończyły mi się pieniądze, żyłam tak jak tamci ludzie ze slumsów... To właśnie wtedy wpakowałam ci się do samochodu. Prawie do końca nie wiedziałeś, że masz pasażera na tylnym siedzeniu... Ładnie postąpiłeś, nie wyrzucając mnie wtedy na mróz...

Przez chwilę jechali w milczeniu.

- Lubię Jonesy'ego - odezwał się Jack. - Paul nie chciał go szukać?

- Nie od razu. Miał wygłosić mowę i chciał, żebym jej wysłuchała.

- Święty Boże! Zupełnie zapomniałem! Ja też miałem przemawiać. - Myślała, że się zdenerwuje, lecz jedynie się roześmiał. - No nic, pewnie mnie tam już nigdy nie zaproszą.

- Martwi cię to?

- Przeżyję... Ale... Uznałaś, że Jonesy jest ważniejszy od Paula?

- To nie tak - zaprotestowała, ale uśmiechnęła się lekko. - Chociaż... Masz trochę racji. Jonesy nie bardzo mu odpowiada.

- No to, co się z nim stanie, kiedy wyjdiesz za mąż?

- Nie będziemy o tym rozmawiać - odpowiedziała chłodno i zmieniła temat: -  
Pomożesz mi wtaszczyć go na górę?

- Naturalnie. A co z Tobym? Kto się nim dziś zajmuje?

- Jest u kolegi.

Myślała, że wprowadzenie Jonesy'ego do domu będzie bardzo trudne, tymczasem Jack wziął go po prostu na ręce i wniósł. Staruszek był co prawda drobny, ale i tak wymagało to sporej siły. Położyli go na łóżku w pokoju Toby'ego, po czym Clare wyszła do saloniku i czekała, aż Jack go rozbierze.

- W porządku - powiedział. - Wyśpi się wygodnie, chociaż rano czeka go pewnie straszliwy kac.

- Ładnie się znalazłeś - podziękowała. - Pewnie chciałbyś wrócić jeszcze na bankiet?

- Dawno się już zakończył. - Patrzył na nią z kpina w oczach. Chciała się go pozbyć, to jasne, ale nie umiała powiedzieć mu tego wprost, bo nie wypadało, bo powinna być wdzięczna. Zdjął płaszcz i usiadł w fotelu. - Za chwileczkę pojawi się tu zapewne twój narzeczony. Cały w skowronkach. Wyobrażam sobie, jak mu mina zrzędzie na mój widok.

- Może więc byłoby lepiej, gdyby cię tu nie zastał. Jack wyciągnął przed siebie nogi.

- Napiłbym się kawy. Jak sobie może przypominasz, nie zdążyłem...

- Uparłeś się, żeby mi przysporzyć kłopotów?

- Przeciwnie. Chciałbym ci ich oszczędzić.

- Aha.

- Nic nie rozumiesz. Mówię o rozwodzie. Chcę ci oszczędzić piekła, kiedy za parę lat dojdiesz do wniosku, że nie zniesiesz dłużej życia z Ventonem.

- Tak nie będzie.

- Kogo ty usiłujesz przekonać? Siebie? Bo na pewno nie mnie.

- Zależy ci na tym, żeby mnie skłócić z Paulem? Po to mi teraz pomogłeś?

Nie odpowiedział. Czubkiem buta wskazał natomiast pudełko ze zdalnie kierowanym samochodem.

- Nowy? Ty go kupiłaś Toby'emu czy on?

- On. Z okazji naszych zaręczyn.

- Wydawało mi się, że nie życzysz sobie rozpieszczania chłopca kosztownymi prezentami. Kupowania jego uczuć, że posłużę się określeniem, którego użyłaś na rozprawie.

- Raz się zdarzyło, wielkie rzeczy...

- Ventonowi wolno, a mnie nie?

- Będzie jego ojczymem.

- Tak się jednak złożyło, że ja jestem ojcem. Prawdziwym.

- Owszem. - Podniosła się gwałtownie. - Złożyło się. Niechcący. Nie wybrałam sobie ciebie na ojca mego dziecka. A Paula tak, wybrałam!

Boże, pomyślał Jack. Jaka ona piękna! Próbował sobie przypomnieć, jak wyglądała wtedy, gdy byli ze sobą przed laty, w domu ojca, lecz ze zdumieniem odkrył, że tamta dziewczyna zniknęła bez śladu z jego pamięci, a jej miejsce zajęła wspaniała, żywiolowa kobieta, którą miał przed sobą.

Do tej pory gra toczyła się wyłącznie o Toby'ego, ale teraz było dla niego oczywiste, że nie pozwoli Clare rzucić się w ramiona tego głupca Ventona, choć sam ją do tego skłonił. Zerknął na nią, zastanawiając się, czy to możliwe, żeby nie znała jego myśli. Może jednak... Przypatrywała mu się tak uważnie, że...

- No to co? Będzie kawa? - Uśmiechnął się z nadzieją. Westchnęła ciężko i wyszła do kuchni. Kiedy parzyła kawę, przyjechał Paul. Przeklinając go w duchu, Jack podszedł do domofonu i otworzył mu drzwi. Na szczęście Venton zachował się taktownie. Przywitał się, po czym wszedł do kuchni i pocałował Clare.

- Znalazłaś staruszkę?

- Tak. Śpi w pokoju Toby'ego.

- To dobrze. Bardzo się cieszę. Musiałem zostać ze względu na to przemówienie, no wiesz...

- Wiem. Zapewne postarałeś się je przedłużyć, żeby zatuszować nieobecność Jacka. - Uśmiechnęła się z przekąsem.

- Byłem absolutnie pewien, że poradzisz sobie beze mnie.

Zaśmiała się lekko. Prawdę mówiąc, tak szczere postawienie sprawy satysfakcjonowało ją w zupełności.

- Chcesz kawy?

- Proszę.

Wyręczając ją, zaniósł tacę do saloniku. Można by pomyśleć, że spotkali się we troje na przyjacielskiej kawce.

- Twoje nagłe zniknięcie nie zrobiło najlepszego wrażenia na gospodarzach - powiedział do Jacka.

- Wybaczą mi z pewnością. Nie mogłem zwlekać. Venton podniósł do ust filiżankę.

- Clare i ja - uśmiechnął się do niej - mamy wobec Toby'ego piękne plany. Ale, naturalnie, chcielibyśmy informować cię o wszystkim na bieżąco. To delikatna sprawa, wymaga kulturalnego podejścia...

- Co ty powiesz... - mruknął ironicznie Jack.

- Toby pójdzie do dobrej szkoły, skończy studia, a później, mam nadzieję, będzie pracował w mojej firmie.

Clare zamrugnęła nerwowo. Nigdy nie rozmawiała z Paulem o przyszłości Toby'ego. Widząc minę Jacka, zrozumiała od razu, co sobie pomyślał, i starała się wszystko zbagatelizować.

- Nie wydaje mi się, żeby już teraz trzeba było planować Toby'emu życie. Jest jeszcze malutki, a jak dorośnie, może mieć w tych sprawach własne zdanie.

Jack roześmiał się drwiąco.

- Nie pozwolicie mu myśleć samodzielnie. Powiedz mi, Venton, czy jest na świecie coś, co mogłoby ci sprawić większą rozkosz, niż gdyby mój syn obrócił się przeciwko mnie? Już wyobrażasz go sobie w charakterze mojego rywala? To dopiero byłby rewanz!

Venton parsknął wzgardliwie. Czuł, że ma przewagę.

- Śmieszne masz wyobrażenia. A nawet, powiedziałbym, dosyć prymitywne.

Jack dopił kawę, odstawił filiżankę na stoliczek i wstał.

- No cóż, jak to już zdążyłeś nieraz podszeptać tu i ówdzie, pochodzę z plebsu. Nie żądam więc ode mnie zbyt wiele. Dziękuję za kawę, Clare. Dobranoc.

- Odprowadzę cię.

- Nie ma potrzeby. Wiem, gdzie są drzwi.

Nie poszła za nim, lecz kiedy wyszedł, gwałtownie zwróciła się do Paula:

- To po to się ze mną żenisz? Żeby, manewrując Tobym, zemścić się na Jacku?

- Skądże znowu! - Miał minę chłopczyka, który wie, że coś przeskrobał. - Ale, przyznaję, uwielbiam go drażnić.

Przez chwilę wpatrywała się bacznie w jego twarz.

- Mam nadzieję, że nic innego się za tym nie kryje - powiedziała z mocą. - Nigdy nie zgodzę się na to, żeby Toby stał się zakładnikiem w twojej prywatnej wojnie ze Strakerem. Doceniam twoje dobre intencje, ale pamiętaj - wychodzę za ciebie po to, żeby nikt mi się nie wtrącał do wychowywania syna.

- Wiem. To zrozumiałe. Ale od czasu do czasu musisz mi pozwolić dokopać Strakerowi. Nie sądziłem zresztą, że to takie łatwe. Nigdy nie widziałem, żeby aż tak się wściekł... - Wyraz uciechy na jego twarzy ustąpił nagle zaszepieniu. - Założę się - powiedział po chwili - że jutrzejsze gazety nie przepuszczą ci tego zniknięcia z bankietu razem ze Strakerem.

W oczach Clare pojawiło się przerażenie.

- O Boże, tylko nie to.

Kiedy z samego rana wyjrzała przez okno, przed blokiem na szczęście nie było reporterów. Ustaliwszy przez telefon, że Toby'ego odwiezie do szkoły razem ze swoim synkiem mama kolegi, u którego nocował, mogła pojechać prosto do pracy.

Kiedy wychodziła, Jonesy, pochrapując, spał jeszcze w najlepsze, ale po powrocie do domu już go nie zastała. Pościelił starannie łóżko i wyszedł. Zastanawiając się nad tym, czy rzeczywiście ma teraz aż tak potężnego kaca, jak to przewidywał Jack, weszła do swojego pokoju, a potem otworzyła łazienkę i nagle stanęła jak wryta. W łazience był jakiś mężczyzna. Stał jak go Pan Bóg stworzył.

- Moment! - zawołał, widząc, że usta Clare otwierają się do krzyku. - Jestem przyjacielem Tanyi.

Stłumiła krzyk, ale głos uwiązł jej w gardle i zaczęła się krztusić, co widząc, mężczyzna podszedł do niej szybko i bezceremonialnie klepnął ją w plecy.

Rozkaszała się aż do łez, lecz wreszcie mogła normalnie oddychać.

- Pan... - odkaslnęła jeszcze raz, uświadamiając sobie, że ten ktoś nie jest jej całkiem nieznajomy. - Sean Munro?

Uśmiechnął się szeroko.

- We własnej osobie. Mam nadzieję, że rozpoznała mnie pani wyłącznie po twarzy.

- Och! - Zarumieniła się mocno. - Już wychodzę. Proszę się spokojnie ubrać.

Niemal zakręciło się jej w głowie. A więc to tak! Nic dziwnego, że Tanyi tak zależało na dyskrecji. Amerykanin Sean Munro był światowej sławy gwiazdorem filmowym. Musiała przyznać, że i ją samą, zazwyczaj nie ulegającą histerycznym zachwytom, ogarnęło nagle podniecenie.

Po mniej więcej dziesięciu minutach zjawił się, ubrany i przystojny, jakby zszedł prosto z ekranu.

- Tanya wyszła wcześniej. Nie spodziewaliśmy się pani. Czy Tanya nie zawiadomiła, że tu dziś będziemy?

Clare pokręciła głową.

- Może i dzwoniła, ale nic o tym nie wiem. Czy kiedy przyjechaliście, ktoś tu był? Taki starszy pan... Nazywa się Jonesy...

- Nie. Domyślałam się, że wybraliśmy niewłaściwy dzień. Bardzo przepraszam, a zarazem dziękuję, że zgodziła się pani nas tu czasem wpuścić.

- Naprawdę nie ma za co. Mam nadzieję, że wam to służy... Jest przynajmniej gdzie spokojnie... porozmawiać - dodała półzartem, zauważając, że jej łóżko było prześcielone.

- O tak... - Uśmiechnął się bez cienia skrępowania i było to tak jawne, że Clare aż się roześmiała.

- To chyba jest dla was obojga bardzo trudne. Przyznam się panu, że kiedy Tanya zapytała mnie, czy nie mogłabym udostępnić wam mieszkania, pomyślałam, że jest przesadnie ostrożna. Ale teraz rozumiem...

Rozmawiali jeszcze przez pewien czas, a ponieważ Clare musiała odebrać Toby'ego ze szkoły, wyszli razem. Na dole sprawdziła, czy przed budynkiem nie kręcą się reporterzy. Nie zauważyła nikogo podejrzanego, lecz mimo to Munro włożył ciemne okulary i postawił kołnierz płaszcz. Cena sławy, pomyślała ze współczuciem. Tylko raz doświadczyła na własnej skórze, co może prasa, i zmieniło to całe jej życie.

Munro przywołał taksówkę i pożegnał się serdecznym gestem, poufale dotykając jej ręki. Dla postronnego obserwatora mogło to wyglądać dość dwuznacznie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jack siedział w swoim gabinecie ponury jak noc. Myślał o Clare i jej zbliżającym się zamażpójściu. Bardzo się bał, że jeśli rzeczywiście dojdzie do ślubu, kontakt z Tobym ograniczy się do tego, co przyznał mu sąd - to znaczy do spotkań raz w tygodniu.

Nie będzie wspólnych wakacji. Nie będzie miał żadnego rzeczywistego wpływu na wychowanie syna. Ograniczeni czasem i nastrojem wycieczki - bo przecież z konieczności taki charakter przybiorą spotkania - nie zdążą nawet dobrze ze sobą porozmawiać, a co tu mówić o zbudowaniu prawdziwej więzi.

Ale nie wszystko jeszcze stracone, myślał, nie chcąc poddać się uczuciu przegranej. Clare, ze względu na Toby'ego, nie mogła w jego obecności odnosić się do niego wrogo. Miał też przyjaciela w Jonesym, który był mu wdzięczny za wyratowanie z opresji w dniu urodzin. Towarzyszył im teraz regularnie w sobotnich spotkaniach. Clare nie pojawiła się ani razu. Zastanawiał się, czy dlatego, że była na niego wciąż zła za scenę w kuchni, czy też działa się tak z woli Ventona. Wersję drugą wykluczał - gdyby chciała, łatwo przeciwstawiłaby się takiemu mięczakowi.

Nie potrafił o nim myśleć bez złości. Prowadził obecnie bardzo delikatne negocjacje z przedsiębiorstwem na Środkowym Wschodzie. Nagle pojawiły się przeszkody. Do kontrahenta dotarły plotki o jego rzekomej niewypłacalności i trzeba je było prostować. Człowiek, którego zatrudniał w charakterze agenta, uwikłał się w



skandal. Takich, pozornie przypadkowych, spraw zebrałoby się więcej. Nie miał jeszcze na to niezbitych dowodów, był jednak pewien, że to Venton rzuca mu kłody pod nogi. Nie po raz pierwszy zresztą. Zaciął zęby. Byłby durniem i kompletnym gamoniem, gdyby pozwolił na to, żeby tego typu człowiek, podły intrygant, wszedł w życie jego syna. I w życie Clare. To też miało znaczenie.

Od pewnego czasu ślęczała nad gazetą, aż wreszcie z ulgą podniosła głowę. Prasa upatrzyła już sobie inne ofiary. Jej sprawa przestała kogokolwiek interesować. Było, minęło. Koniec.

Wiedziała, że Tanya i Sean wciąż korzystają z jej mieszkania, często nawet bez uprzedzenia, toteż oczekiwała na telefon od przyjaciółki i zwierzenia. Pewnego wieczoru, zamiast zwierzeń, usłyszała w słuchawce błaganie o pomoc.

- Clare, słuchaj, musisz mnie wyciągnąć z czegoś okropnego.

- Ale z czego? Co się stało?

- Chcieliśmy, ja i Sean, wyjechać razem na weekend. Zarezerwowaliśmy sobie pokój w wiejskiej gospodzie, ma się rozumieć pod fałszywym nazwiskiem. Zajeżdżamy. Sean przepuszcza mnie przed sobą, wchodzę, no i jak myślisz... Kogo ja widzę? Ciotkę Briana. Zobaczyła mnie z neseserkiem, więc na poczekaniu wymyśliłam, że mam go tu zostawić dla znajomej. Oddałam torbę na przechowanie i wyszłam. No i dzwonię do ciebie.

- Och, Tanya, miejże rozum. Zawsze wpadasz w panikę z powodu jakiegoś głupstwa. Odczekaj, aż cioteczka sobie pójdzie, a potem idź i wyjaśnij sprawę.

- Nie mogę! Ona chyba nigdy nie wyjdzie z tego holu. A Sean zapowiedział mi, że pod żadnym pozorem nie wolno nam wzbudzić podejrzeń. Boi się, że tropi nas prasa. To już jakaś paranoja, naprawdę.

- Przyjechać po ciebie?

- Nie. To znaczy... Chciałabym, żebyś spędziła tu noc. Jako ja, to znaczy niejaka pani Robinson, rozumiesz...

- Ale... Nie, Tanya, nie mogę. Jestem umówiona z Paulem.

- Nie da się tego odwołać? Jeśli miałaś zamiar wyjść, to znaczy, że wynajęłaś już kogoś do opieki nad Tobym...

- Ma zostać na noc w domu kolegi... Ale, Tanya... Szczerze mówiąc...

- Proszę cię. To sprawa życia i śmierci.

Błagała i jęczała tak długo, aż w końcu Clare się poddała. Zadzwoiła do Paula i odwołała spotkanie. Nie był zbytnio uszczęśliwiony, ale cóż, nie miał wyboru.

Dwie godziny później, prawie o dziewiątej, dojechała na miejsce. Kiedy zaparkowała samochód i weszła do hoteliku, w sympatycznie urządzonej holi recepcyjnym nie zauważyła nikogo, kto mógłby przypominać starą ciotkę. Pojawił się natomiast hotelarz. Przedstawiła mu się fałszywym nazwiskiem Tanyi jako pani Robinson.

- Mam tu zarezerwowany pokój - powiedziała. - Czy znajoma zostawiła dla mnie neseser? Tak się umówiliśmy...

- Owszem. Bardzo proszę. - Podał jej schowaną torbę. - Zaprowadzę panią.

Pokój na pięterku był przepiękny. Poczesne miejsce zajmowało w nim olbrzymie, iście królewskich rozmiarów łóżko.

- Przyjeliśmy już zamówienie na kolację. Mamy podać teraz, czy też życzy pani poczekać na męża?

Clare zerknęła na zegarek.

- Późno już... Chętnie bym coś zjadła. Proszę mi też przysłać butelkę szampana - dodała, uznając, że Tanya jest jej dłużna przynajmniej tyle.

- Szampan też został już zamówiony.

Po niedługim czasie przyniesiono jej do pokoju znakomicie przyrządzoną i pięknie podaną kolację. Zabrała się więc do jedzenia, starając się wynagrodzić sobie stracony wieczór. Piła właśnie już drugi kieliszek szampana, gdy rozległo się pukanie.

- Otwarte, proszę - zawołała, pewna, że to znowu kelner, i oniemiała. W progu stał Jack. Wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Co się stało? - rzucił szorstko.

- Jak to: „Co się stało”? Nie rozumiem.

- Dostałem telefon. Powiedziano mi, że jesteś w tarapatkach. Że jestem ci potrzebny - odparł zdziwiony.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego zdezorientowana, aż wreszcie zaczęła kojarzyć.

- Dzwoniła do ciebie kobieta?

- Tak. Oznajmiła, że jest twoją dobrą znajomą i że prosiłaś ją, żeby do mnie zatelefonowała. Podobno sama nie może ci pomóc, w tej sprawie konieczny jest mężczyzna, a dokładnie ja... Ale widzę, że to nic pilnego - dodał, zauważając zirytowaną minę Clare.

- Słusznie wydedukowałaś - parsknęła gorzko. - To tylko pewna moja przyjaciółka postanowiła powtrącać się w nie swoje sprawy.

- To znaczy w jakie?

- Nie takie, jakich się domyślasz. My... to znaczy ja... Zastawiła na mnie pułapkę - wyjaśniła, czerwieniąc się.

- Po kolei. Chwileczkę. - Podszedł do stolika i nalał sobie szampana.

- Jak znalazłeś ten pokój?

- Twoja przyjaciółka kazała mi powiedzieć, że nazywam się Robinson, i wejść prosto tutaj.

- Chyba ją uduszę!

- Ale dlaczego? Dlaczego mówisz, że zastawiła na nas... na ciebie pułapkę?

- No bo... - Uzmysłowała sobie nagle, że nie może mu tego wyjaśnić. - Bo widzisz... Coś się jej ubzdurało.

- Ciekawe. - Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. - Rozumiem, że te pyszności podano dla państwa Robinsonów. - Uśmiechnął się, gdy niechętnie kiwnęła głową, usiadł i nałożył sobie na talerz. - Doskonale. Nie jadłem jeszcze kolacji. No dobrze. Mów, o co chodzi.

- Nie mogę. Uwierz mi na słowo. Zaszło po prostu bardzo głupie nieporozumienie... - Wstała. - Przepraszam, że zostałeś w to wplątany. Zjedz, co chcesz, możesz też zostać tu na noc. Ja wracam do Londynu.

- Mowy nie ma. Chyba że się dowiem, w czym rzecz. - Mówił spokojnie, ale spojrzenie miał twarde jak stal.

- Już ci powiedziałam. Nie ma tu nic do wyjaśnienia. Tanyi coś się ubzdurało.

- To znaczy, co?

- Nic. Ciebie to nie dotyczy. - Spostrzegła w jego oczach rozbawienie i zarumieniła się mocno.

- Rozumiem. W takim razie siadaj i dokończ jeść. Dotrzyмай mi przynajmniej towarzystwa. Tyle chyba jesteś mi winna?

- Nic ci nie jestem winna. To nie był mój pomysł.

- Oczywiście. To tylko twojej przyjaciółce coś strzeliło do głowy. Kto to w ogóle jest?

- Chodziłyśmy razem do szkoły. - Niechętnie przysiadła na brzeжку krzesła, w każdej chwili gotowa zerwać się z miejsca.

- No i co z tego?

- Miała zawsze skłonność do pakowania się w głupie historie. Właśnie dlatego uwierzyłam jej, gdy przed siódmą zadzwoniła do mnie i... - Umilkła, nie chcąc wydać Tanyi.

- I?

- Powiedziała, że ma kłopoty i poprosiła mnie o pomoc. Dlatego tu jestem. Jack zmarszczył czoło. Czowała, że się czegoś domyśla, że dochodzi do jakichś wniosków... Czy do właściwych? Bardzo możliwe. Nie był przecież głupi. Odsunął talerz, po czym wziął tacę i wystawił ją za drzwi.

- Czy twoja przyjaciółka jest osobą prawdomówną?

- Jak widać bardzo.

- Ale na ogół?

- Tak.

- W takim razie czy mówiła prawdę, twierdząc, że potrzebujesz mężczyzny... i że tym mężczyzną jestem ja?

- Nie! - Clare zerwała się na równe nogi. - Wszystko przekręcasz! To zwykle insynuacje. Doprawdy śmieszne!

Był już jednak przy niej.

- Czemu aż tak się zarzekasz? Wystarczyło powiedzieć nie, i koniec. Miał rację. Clare zaczerpnęła oddechu i spróbowała mówić spokojnie.

- Słuchaj, naprawdę. Nie doszukuj się czegoś, czego nie ma. Tanya powiedziała, co powiedziała. Nie było w tym żadnego podtekstu. Ot, tak sobie zażartowała, jak to ona.

- Jest twoją koleżanką... przyjaciółką, tak?

- Tak.

- Skoro więc jesteście sobie bliskie, to powinna wiedzieć, że mnie nienawidzisz... - Popatrzył jej prosto w twarz. - Bo nienawidzisz mnie, tak czy nie?

- Wiesz, że tak.

- No, to wytłumacz mi, po co miałyby cię umawiać z kimś aż tak ci niemiłym...

- Nie mam pojęcia. - Popatrzyła na zegarek. - Jadę... Położył lekko dłoń na jej ręce i nim zdążyła zapanować nad sobą, wyczuł, że drży.

- Nie uciekaj - poprosił miękko. - Posiedźmy trochę, porozmawiajmy o Tobym. Jak on się ma? Udała mu się wycieczka do zoo?

- Tak. W ogóle wszystko w porządku. Słuchaj, ja...

- Tylu rzeczy nie wiem... Tak naprawdę nigdy o nim nie rozmawialiśmy. -

Poprowadził ją w stronę kanapy, usiadł i pociągnął ją za sobą. - Clare... Poopowiadaj mi o nim trochę, proszę.

Siedziała jak na szpilkach, lecz jego uczucie dla Toby'ego nie mogło jej nie poruszyć. Przemogła wewnętrzny opór.

- Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko! Czy był śliczny jako niemowlę? Ale po co ja pytam! Wszystkie bobaski są piękne, tak mi przynajmniej mówiono... Czy wierzy jeszcze w Świętego Mikołaja? W bajkę o pierwszym ząbku? Czy przechowujesz jego pierwszy ząb?

Podniosła na niego spłoszone spojrzenie. Do głowy by jej nie przyszło, że mógłby pytać o takie rzeczy. Wydawało się jej zawsze, że mężczyźni mało obchodzą niemowlęta. Z jej rozmów z innymi młodymi matkami wynikało, że ojców zaczynają rzeczywiście zajmować ich pociechy dopiero wtedy, gdy wchodzi one, tak jak obecnie Toby, w wiek, w którym pojawiają się zainteresowania i można z nimi porozmawiać na konkretne tematy. Nigdy by nie pomyślała, że Jack mógłby zachwycać się tymi samymi sprawami, które fascynowały ją, gdy Toby był malutki.

- Tak - odpowiedziała powoli. - Dla Toby'ego świat to wciąż jeszcze magia. -

Nieoczekiwanie dla samej siebie zaczęła opowiadać o sprawach, które przydarzyły się w ciągu jego krótkiego życia. O tym, jak ciężko przechodził odrę, jak wszedł na drzewo po kota i obu musieli ściągać na dół strażacy...

Jack słuchał jak zaszarowany.

- A ty... Jak sobie radziłaś? Jak ci się udało tyle osiągnąć?

- Wszystko to dzięki ukochanej pasji twojego ojca - przyznała wprost. - Nudziło mi się wtedy, nie miałam prawie nic do roboty, więc zafascynowana meblami i ozdobami, które wtedy u was zobaczyłam, całymi dniami czytałam książki o sztuce. A kiedy... kiedy wróciłam do Londynu, zaczęłam chodzić po wyprzedażach i pchlich targach. Udało mi się wyszperać parę autentycznie wartościowych rzeczy. Gdy urodził się Toby, zabierałam go ze sobą, najpierw w nosidelkach, a potem w wózku. -

Uśmiechnęła się do wspomnień. - Stał się ulubieńcem handlarzy starzyzną, obdarowywali go samochodzikami... Potem udało mi się dostać pracę konsultantki w domu aukcyjnym, a w końcu otworzyłam własny sklep.

- Musiało ci być niezmiernie ciężko.

- Nie... Znalazłam w tym radość.

W oczach Jacka pojawiła się tęsknota.

- Chciałbym, żeby... - Urwał, ale po chwili dokończył: - Żeby to wszystko ułożyło się inaczej.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Jego ręka osunęła się z oparcia kanapy i otoczyła na moment jej ramiona. Odsunęła się pospiesznie.

- Czy ty i twoja żona nie chcieliście mieć dzieci?

- Chcesz posłuchać smutnej opowieści o moim małżeństwie i rozwodzie? - spytał z gorzkim uśmiechem.

- Nie. To nie moje sprawy - odparła krótko, ale zaczął:

- Moje małżeństwo zaczęło się rozpadać, zanim cię poznałem. Pobraliśmy się, kiedy jeszcze studiowałem, co było błędem samym w sobie. Ruth była śliczną dziewczyną, zakochałem się po grób, a raczej tak mi się wydawało. Brakowało mi doświadczenia, nie przewidywałem, że to może nie przetrwać. Pierwsza miłość mężczyzny taka już jest. Nim się zastanowiłem, wpadłem po same uszy. Może gdyby godziła się na współzycie, otrząsnąłbym się szybko, ale postawiła warunek - albo ślub, albo nic z tego. Już wtedy miałem sporo osiągnięć, czuła, że zajdę wysoko. Chciała ze mną być. Mówiła, że jest dziewicą, że jeszcze z nikim... Nieprawda! -Roześmiał się ze wzgardą. - Była urodzoną dziwką. Za zbliżenia z nią musiałem zawsze, w ten czy inny sposób, płacić. Nie było w tym nigdy żadnej radości, a już na pewno brakowało spontaniczności. Ot, handel zamienny.

- A dzieci? - spytała zszokowana.

- Och... Może by się wysiliła na jedno, gdybym gotów był dobrze zapłacić... Zrobiłem dyplom i skupiłem się na rozwijaniu swojego przedsiębiorstwa. Miałem jeszcze nadzieję, że ona się zmieni. Ale po paru latach już nie. Byłem zmęczony ciągłymi konfliktami i zażądałem rozwodu. Wtedy zmieniła taktykę. Pewnej nocy przyszła do mnie i powiedziała, że będzie, jak chcę, że wciąż mnie kocha i pragnie, żebyśmy byli szczęśliwi. A ja, głupiec, dałem się nabrać. Po miesiącu powiedziała mi, że jest w ciąży. Uwierzyłem. Było to niedługo przed tym, jak mój ojciec zachorował i poznałem ciebie... - Milczał przez długą chwilę. - Ona nigdy nie poszłaby ze mną do łóżka, tak jak ty, żeby dać mi ukojenie. Nie sądzę zresztą, żeby w ogóle potrafiła kochać. Była skąpa. Skąpa uczuciowo i skąpa w łóżku. Nic za darmo... Nie chciałem cię wygnąć ze swego życia, ale zrobiłem to, bo myślałem, że Ruth nosi pod sercem moje dziecko. Miałem nadzieję, że jakoś się to ułoży i potrafimy żyć jak normalna rodzina. Nie mogłem ryzykować, że z mojej winy rozpadnie się dom...

- Mówisz, że wierzyłeś, że ona jest w ciąży? To znaczy...

- Tak. Wierzyłem. - Jack z widocznym trudem wydobywał się z otchłani pamięci. - Ale nie była. Dwa miesiące później, po moim powrocie z delegacji, powiedziała mi, że poroniła. Nie uwierzyłem i zaciągnąłem ją do ginekologa. Potwierdził, że nigdy nie była w ciąży. Tego samego dnia rzuciłem ją i nigdy więcej się nie widzieliśmy... Ale i tak może sobie pogratulować. Koszty rozwodu poniosłem ja. Przeplaciłem słono. Rozzalenie Jacka chwyciło Clare za serce. Spontanicznie wyciągnęła rękę i delikatnie położyła ją na jego ustach, jakby chciała zetrzeć z nich gorycz i nienawiść. Popatrzył na nią z takim żarem, że aż ją to przeraziło. Chciała zabrać dłoń, lecz przytrzymał ją i zaczął żarliwie całować, a jego oczy mówiły, czego pragnął i co zaraz może się stać.

- Nie! - Z trudem oderwała wzrok i szybko wstała. Nie puszczając jej ręki, podniósł się również i przyciągnął ją do siebie.

- Nie miałem zamiaru nawet cię dotknąć.

- Całować też nie? Naprawdę?

- Naprawdę!

Rozbawienie, pożądanie i czułość rozświetliły jego twarz.

- Głupia sprawa, bo teraz mam na to wielką ochotę. I muszę ci, moje złotko, przypomnieć, że tym razem Tobie nie przybiegnie cię ratować.

- Nawet się nie waż!

- Pleciesz!

- To będzie przemoc!

- Oczywiście. - Kusząco dotknął wargami jej ust. - Wyłącznie.

Przyciągnął ją do siebie bliżej. Zaciśnęła wargi, sztywniejąc w jego ramionach, lecz kiedy poczuła pocałunki na szyi, wstrzymała oddech. Próbowwała rozpaczliwie ukryć ogarniające ją pożądanie, lecz zawładnęło nią niepodzielnie.

- Clare...

Objął rękami jej głowę i głodnym pocałunkiem rozchylił jej usta. Zaprotestowała zduszonym głosem i jeszcze raz spróbowała zapanować siłą woli nad swoim ciałem i zmysłami, lecz wtulił ją w siebie. Poddała mu się z jękiem, a wtedy ogarnął go istny szal radości. Ze śmiechem całował jej usta, szyję, oczy...

- Wiedziałem, że nie jestem ci obojętny. Wiedziałem! Nasza noc była taka cudowna. Czy pamiętasz, Clare? Czy pamiętasz, jak nam było dobrze?

Odsłonił przód bluzki i całował, całował, całował.

- Pamiętam - powiedziała miękko.

Podniósł głowę. Nigdy jeszcze żadna kobieta nie wydała mu się taka pociągająca. Nikt nigdy nie owdładnął do tego stopnia jego sercem, zmysłami, nim całym. Może tylko Ruth w czasach studenckiej miłości. Ale uczucie, które teraz na niego spadło, było inne. Graniczyło z kultem, w którym pożądanie ustępowało lękliwemu uwielbieniu. Trzęsły się mu ręce, miał trudności z rozpięciem guziczków. Prychnął zirytowany własną niezgrabnością, aż wreszcie piersi Clare odsłoniły się przed nim i mógł nasycić się ich widokiem.

- Jesteś piękna - powiedział ochrypłym głosem. - Więcej niż piękna.

Pochylił się, a wtedy objęła jego głowę, odpowiadając na jego pocałunki poruszeniami, westchnieniami i coraz bardziej nierównym oddechem. Otworzyła przymknięte oczy, niewyobrażalnie podniecona. Lustro na drzwiach szafy odbijało ich ciała. Zobaczyła siebie, swoją radość i przyzwolenie na to, co robił. Nagle ogarnęła ją konsternacja.

- Nie! - Odepchnęła go gwałtownie. - Zostaw!

Na moment stracił równowagę. Popatrzył na nią zaskoczony, lecz widząc, że okrywa się pospiesznie, wybuchnął gniewnie:

- Czemu tak?

- Bo... bo nie chcę. Nie chcę.

- Więc, co to było? Zabawa? Próba ukarania mnie?

- Ty to zacząłeś!

- A ty niespecjalnie się broniłaś! Chciałaś tego tak samo jak ja.

- Nie! Nigdy! Myślałeś, że mnie zdobędziesz paroma wyświechtanymi pieśczołkami?

- Wyświechtanymi? - spytał, nagle blednąc. - To dlaczego na nie odpowiadałaś? -

Chwycił ją za nadgarstek i odwrócił twarzą do siebie. - Zrewanżowałaś mi się za to, że pozwolono mi widywać Tobie'ego? Tak to sobie wymyśliłaś?

- Nie. Nie bądź śmieszny. I puść mnie, bo zaraz zacznę krzyczeć!

Podniosła głos, a na jej policzki wystąpiły rumieńce: Przyglądał się jej przez chwilę.

- O co chodzi, Clare? Jesteś na siebie zła za to, że zapomniałaś o tym, że powinnaś mnie nienawidzić? Że zdradziły cię zmysły?

Wyszarpnęła rękę.

- A nie miało tak być? Wszystko sobie zaplanowałaś. Sprytny jesteś. Znasz się na kobiecej duszy. Opowiedziałaś tę swoją łzawą historyjkę, bo wiedziałaś, że zrobi mi się ciebie żal i będziesz mógł...

Umilkła, gdy z płonącymi oczami znowu chwycił ją za ramiona.

- Mam gdzieś twoją litość! Podła! Jesteś taka sama jak wszystkie. Grasz uczuciami mężczyzny, jakby to była zabawa w ciepło-zimno. Kobiety nie potrafią kochać.

Myślałem, że jesteś inna, ale nie. W porządku. Chciałaś zemsty, no to ją masz. Ciesz się!

Patrzyła na niego, porażona rozpaczą wyzierającą z jego oczu.

- Jack - powiedziała, jakby chciała znaleźć do niego drogę. - Co ty mi próbujesz wmówić?

- Wmówić? Nic. - Popchnął ją w stronę drzwi. - Chciałaś, zdaje się, jechać? No, to jedź. Wynoś się! Szykuj się do tego wyrachowanego małżeństwa z Ventonem! - Zerwał z szyi krawat, rzucił go na krzesło, po czym wszedł szybko do łazienki, trzaskając drzwiami.

Przez chwilę patrzyła na nie tępo, niezdolna do ogarnięcia uczuć, które przed nią ujawnił - jego gniewu, urazy, bólu. Potem sięgnęła po torbę, włożyła płaszcz i jeszcze raz spojrzała na zamknięte drzwi. Zarzucił jej, że jest taka sama jak jego żona - okrutna i bez serca. Przecież jednak nie była taka... A może...

Stał pod prysznicem bez ruchu. Woda strumieniem obmywała go całego. Nigdy jeszcze nie czuł się tak zdolowany, nigdy nie było mu tak gorzko. Przez kilka cudownych chwil wydawało mu się, że wreszcie jego życie nabiera sensu. Widział przed sobą przyszłość - mieniącą się kolorami, nie ponurą i ciemną. Ale teraz prawie się cieszył, że nie może powiedzieć Clare tego, co czuje - przynajmniej to upokorzenie zostało mu oszczędzone. Owszem, dał jej powody do nienawiści, ale i przeceniał ją. Sądził, że będzie miała odwagę przyznać się do własnych uczuć. Mylił się. Jakże się mylił!

Być może zresztą dalej go nienawdziła. Może tego też nie rozumiał, kiedy wydawało mu się, że jest inaczej. Dlaczego jednak zgodziła się na pieszczoty, czemu była tak podniecona? I nagle coś się w niej odmieniło. Co? Przypomniała sobie, że się zaręczyła z tym mięczakiem? Wyobraził sobie, nie po raz pierwszy zresztą, Clare w objęciach Ventona i aż go skreśliło z zazdrości. Uderzył pięścią w kafelki. Nagle usłyszał za sobą jakiś ruch, ale nim zdążył się odwrócić, dwie niepewne ręce otoczyły go w pasie. Clare! Przytuliła się do niego. Czuł na plecach jej twarz i piersi, niżej - biodra i nogi. Krzyknął, ale nie dała mu się odwrócić.

- Mydło - szepnęła.

Powoli namydliła mu plecy. Stał nieruchomo, niemal nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę. Czuł jej gładzące pieszczotliwie ręce, delikatne, kuszące.

Przebiegały go drżenia. Nawet nie próbował powstrzymać ich ani ukryć. Oddychał

coraz goręcej, nierówniej. Wiedział, że za moment straci panowanie nad sobą. I przyszedł ten moment, nareszcie, odwróciła go do siebie. Jej złane wodą włosy spływały gładko do tyłu. Mrugając, strząsnęła kropelki z rzęs. Była naga i ciepła. Objął ją całą wzrokiem i nagle spotkały się ich oczy. W jej spojrzeniu odnalazł niepewność i wyczekiwanie. Objął jej głowę i przez chwilę trwali w łagodnym pocałunku. Kiedy otworzył oczy, Clare uśmiechała się. Namydliła mu pierś, ale gdy przesunęła rękę niżej, porwał ją, wyniósł z łazienki i nim zdążyła pisnąć, oboje, cali mokrzy, leżeli już na łóżku. Na moment ukląkł nad nią. Z włosów spływała mu woda. Clare uśmiechnęła się i pociągnęła go do siebie.

Byli sobie nawzajem bardzo spragnieni. Owładnięci pożądaniem, dążyli oboje namiętnie i nieco egoistycznie do nasycenia własnych pragnień. Dopiero kiedy to się stało, ogarnął ją ramionami i położył się obok. Drżącą ręką odsunął z jej twarzy mokre pasemko włosów.

- Kochana moja... Miła.

Pocałował ją z uczuciem najgłębszej wdzięczności i patrzył, jak wolno otwiera oczy. W ich orzechowej głębi zobaczył zaspokojenie, na ustach zagadkowy uśmiech. Tak wyglądała kobieta, którą ktoś prawdziwie ukochał, której było dobrze. Roześmiał się szczęśliwy, dumny ze swej męskości.

- Twojej przyjaciółce należy się ode mnie skrzynka najlepszego szampana - zachichotał. - Dobrze było, prawda?

- Fantastycznie. - Clare poruszyła się lekko. - Było i jest fantastycznie.

Westchnęła uszczęśliwiona.

- Dlaczego zmieniłaś decyzję? Czemu nie pojechałaś?

- Po prostu... Przestałam walczyć... Z tobą, ze sobą... - Uśmiechnęła się znowu. -

Zresztą, chyba w ogóle nie myślałam. Zrobiłam, co mi kazało serce. Czułam, że jeśli odejdę, stracę cię na zawsze i będę tego żałowała przez całe życie. Rozebrałam się, nie bardzo wiedząc, co robię.

W jej oczach pojawił się nagle cień, ale nim zdążyła wyrazić wzbierający w niej niepokój, Jack pocałował jej powieki.

- Jestem szczęśliwy, że to się stało - zapewnił. - Nieskończenie szczęśliwy.

Opuścili hotel oddzielnie - Jack parę godzin wcześniej, ponieważ z samego rana miał lecieć do Kanady, na start zespołu kobiecego, podejmującego próbę zdobycia bieguny północnego. Był sponsorem tego przedsięwzięcia i bardzo się nim pasjonował. Ze swego telefonu samochodowego Clare zadzwoniła najpierw do znajomych, żeby się dowiedzieć, czy z Tobym wszystko w porządku, a potem do Paula. Poprosiła go o spotkanie u siebie w domu.

Drogi dojazdowe do Londynu były zakorkowane, toteż przyjechał pierwszy. Nie zastawszy Clare, wrócił do samochodu i zaczął telefonować w interesach.

- Będziesz musiała dać mi klucz - powiedział, gdy wreszcie się zjawiła, a kiedy tylko weszli do klatki schodowej, pocałował ją.

Zarumieniła się, myśląc, że ma wypisaną na twarzy noc spędzoną z Jackiem, ale dodał:

- Inaczej ułożyłaś włosy.

- Zmokły mi.



- A co się w ogóle stało?  
- A co się miało stać?  
- Mówiłaś, że jakaś twoja koleżanka ma kłopoty i dlatego nie możemy się spotkać.  
- Tak. - Machnęła ręką, dając do zrozumienia, że to mało ważne. - Paul, muszę ci zakomunikować coś istotnego. Nie jest mi lekko mówić, naprawdę. Przykro mi, ale chcę zerwać zaręczyny.  
Spostrzegła, że znieruchomiał i stężała mu twarz. Zapadła napięta cisza.  
- Rozumiem - powiedział kostycznie. - A można wiedzieć, dlaczego?  
- Pewne sprawy się zmieniły. Widziałam się z Jackiem. Przeprowadziliśmy rozmowę. Postanowiłam dać mu swobodę w kontaktach z Tobym. Niech się widują, kiedy i ile chcą.  
- Dlaczego?  
- To sprawa osobista. Przykro mi.  
- Przykro ci - powtórzył ze złością. - Czy ty sobie wyobrażasz, jak się ze mnie będą natrzęsać? Jak można zrywać zaręczyny po miesiącu?! Poznałaś kogoś nowego? Tak?  
- Nie.  
- Na pewno chodzi o mężczyznę; inaczej nie zmieniłabyś decyzji. - Spojrzał na nią zwężonymi oczami. - A skoro nie jest to ktoś nowy... - przerwał i dokończył, jakby dokonał odkrycia - to w takim razie może chodzi o starą znajomość. Mój Boże! Wróciłaś do Strakera. Po tym wszystkim, co o nim mówiłaś... że go nienawidzisz, że nie chcesz, żeby kontaktował się z Tobym. - Wybuchnął gniewnym, wzgardliwym śmiechem. - No cóż, Clare. Bardzo ci dziękuję.  
- Stało się - powiedziała, nie próbując niczemu przeczyć.  
- Nie chciałam tego ani tym bardziej do tego nie zmierzałam. Myślę, że tak po prostu miało być.  
- Miłość i nienawiść idą często w parze. To chcesz powiedzieć, prawda? Albo, jak tym razem, nienawiść i żądza - zadrwił.  
Twarz Clare ściągnęła się.  
- Rozumiem, że jesteś na mnie zły, ale...  
- Tak, jestem zły, diabelnie zły! - Chwycił ją za rękę.  
- Tej nocy byłaś ze Strakerem, prawda? - Z jej twarzy odczytał prawdę. - Zachowałaś się jak ostatnia dziwka. I jesteś nią, nikiem innym! - Podniósł zaciśniętą pięść. Przestraszyła się, że chce ją uderzyć.  
- Masz jakieś kłopoty, Clare?  
Oboje, zaskoczeni, odwrócili się w stronę wysokiego mężczyzny, który stanął w drzwiach pokoju.  
- Sean... - Jednym ruchem wywinęła się Paulowi. - Proszę cię, wyjdź.  
Venton oprzytomniał. Rozpoznał słynnego aktora i roześmiał się wzgardliwie.  
- Ho, ho. Widzę, że u ciebie w każdej szafie siedzi jakiś facet. Ale czego innego można się spodziewać po...  
- Miał pan zdaje się wyjść. - Munro napiął swoje słynne mięśnie. - Z największą przyjemnością pomogę. Ostrzegam, schodów jest dużo.

Paul zachował zimną krew. Wyprostował się i z godnością, choć dosyć prędko, podszedł do drzwi.

- Jeszcze tego pożałujesz! - rzucił do Clare i wyszedł. Odetchnęła z ulgą.

- Boże, Sean, jak się cieszę, że tu byłeś. Dziękuję. Mogło być niewesoło.

- Zauważyłem. - Wyciągnął się w fotelu. - Miałem zamiar nie pokazywać się, aż wyjdzie, ale kiedy usłyszałem, jak krzyczy na ciebie, pomyślałem, że mogę się przydać.

- Jeszcze raz dziękuję. Ale... Co ty tu robisz? Zmieszał się lekko.

- No wiesz... Wiedzieliśmy, że ani ciebie, ani Toby'ego nie będzie w domu, więc, rozumiesz... - Rozłożył bezradnie ręce. - Tanya umknęła wcześniej, a ja chyba zasnęłam. Kiedy weszliście, miałem właśnie wychodzić.

Clare podeszła do okna. Zauważyła, że samochód Paula wciąż stoi pod domem.

- Jeszcze nie pojechał - powiedziała niepewnie.

- No, to poczekamy. Zostanę, aż się całkiem wyniesie.

- Bardzo ci będę wdzięczna. Robię dla siebie kawę. Napijesz się?

Podczas rozmowy jeszcze kilkakrotnie podchodziła do okna, ale minęło dobre dwadzieścia minut, nim Venton ostatecznie odjechał.

- Po kłopotcie - powiedziała z satysfakcją.

- No, to zbieram się. Po południu mam zdjęcia.

- Ja też muszę jechać do pracy.

Wyszli razem, rozmawiając o Tanyi w windzie i na korytarzu. Dozorca otworzył im drzwi, lecz kiedy tylko znaleźli się na podwórzu, oślepiły ich flesze.

- Do diabła! - Munro sięgnął po ciemne okulary, ale było już grubo za późno, by zdołał ukryć, kim jest. Kilkunastu fotoreporterów otoczyło ich ciasno, wykrzykując pytania. Przebili się jednak jakoś do samochodu Clare.

- Wsiadaj! - rzuciła szybko. - Podwiozę cię.

- Musiał ich nasłać ten palant, którego wyrzuciłaś z domu. Obdzwonił z komórki redakcję i czekał pod domem, żeby się upewnić, czy trafią! - Sean kłął na czym świat stoi.

- Myślisz, że to Paul? Och!

- Nic wielkiego się nie stało. Tanya będzie przecież wiedziała, jak jest.

Nie bardzo ją to uspokoiło, ale też pomyślała, że dadzą im szybko spokój, bo nie ma z czego robić sensacji. Wysadziła Seana na West Endzie i pojechała do pracy.

Myliła się, sądząc, że prasa prędko się odczepi. W bieżącym tygodniu musiało być krucho z sensacjami, bo nie tylko następnego ranka, ale przez kilka następnych dni gazety żywiły się swoim łupem. Najbardziej, jak zwykle, używały sobie brukowce, już w tytułach nazywając ją i Seana kochankami. „Londyńskie gniazdko Seana Munro”, przeczytała wielki nagłówek. W artykule podano nawet, ile razy widziano słynnego gwiazdora wchodzącego i wychodzącego z budynku. Nie miała pojęcia, skąd mogły pochodzić te skrupulatne wyliczenia, chyba że we wszystkim maczał palce dozorca. Inny tytuł sugerował jej związek z Jackiem. „Miłość i pieniądze. Słynny biznesmen przegrywa z Seanem Munro”. O zerwanych zaręczynach wzmiankowano natomiast nader lakonicznie. Venton - pisano - zrezygnował

natychmiast, dowiedziawszy się o romansie panny Longman ze słynnym aktorem. Wychodził więc ze skandalu czysty i pachnący.

Zatelefonowała do Seana z hotelowego automatu, nie mając pewności, czy nie założono jej podsłuchu. Raczej kwaśno poradził jej, żeby nie robiła zamieszania.

- Po prostu przeczekaj. Wierz mi, to jedyny sposób.

- Ale przecież to wszystko nieprawda! Czy przynajmniej mój adwokat nie mógłby zażądać sprostowania?

- Szkoda czasu. Ludzie i tak wierzą w to, co chcą. Wszelkie dementi to tylko dolewanie oliwy do ognia.

- A mój syn? Już go pokazują palcem... Muszę coś zrobić...

- Co zatem powiesz? Że się nie spotykaliśmy? Że to nie ty, tylko twoja przyjaciółka? Dziennikarze albo ci nie uwierzą, albo będą się próbowali dowiedzieć, kto to jest. I dojdą do Tanyi. Obiecałaś, że dotrzymasz tajemnicy...

- Może już zatem pora, żebyście coś postanowili - rzuciła zirytowana.

- Decyzja należy do Tanyi. Przepraszam, ale muszę już iść. Jestem potrzebny na planie.

Po tej bardzo rozczarowującej rozmowie Clare usiłowała pomówić z Tanya.

Przyjaciółka nie zgadzała się jednak rozmawiać przez telefon w obawie przed podsłuchem. Spotkały się więc w restauracji. Tanya przyszła w ciemnych okularach i kapeluszu z opuszczonym rondem, całkowicie kryjącym jej włosy.

- Można by pomyśleć, że to na ciebie poluje prasa - zadrwiła na powitanie Clare.

- Brian powiedział, że mam się z tobą nie spotykać, aż to wszystko ucichnie.

- Brian powiedział... Od kiedy to przywiązujesz wagę do tego, co mówi twój mąż?

- Bardzo cię dręczą? - zapytała Tanya, bardziej, jak od razu wyczuła Clare, z ciekawości, niż ze współczuciem.

- Bardzo. Nie mogę się nigdzie ruszyć bez ogona. Włazą mi do sklepu, przychodzą do domu, pojechali za mną nawet na wyprzedaż. Toby'emu dzieci dokuczają w szkole. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że cierpię niewinnie. Myślę, że ty i Sean musicie się ujawnić. Nie jestem w stanie was dłużej kryć. Było źle, kiedy prasa wytropiła mój związek z Jackiem, ale teraz jest zupełnie parszywie. To... prawie lincz.

Elegancko utrzymane, długie palce Tanyi bawiły się bułeczką.

- Jest mi ciebie, naturalnie, okropnie żal. Ale, wybacz, prasie doniósł twój były narzeczony. Seanowi również nie darowali.

- Rozmawialiście o waszej sprawie?

- Mniej więcej.

- Jak to: mniej więcej?

- No wiesz... - Tanya wyglądała na zakłopotaną - ten cały rozgłos i w ogóle... trochę to mnie odstręcza.

- Sean też? - Clare przyjrzała się jej bacznie.

- To wszystko jest nie w moim stylu. Rodzicom bardzo by się nie podobało, a i o dzieciach trzeba myśleć...

- A o moim synku, kto pomyśli? - przerwała ze smutkiem Clare. - To przez ciebie musi znosić głupie uwagi.

- Jesteś niesprawiedliwa. Powiedziałam ci na samym początku, że nie potrafię się zdecydować.

- Ale pomyślałaś, że poużywać nie zaszkodzi. A inni, co tam, inni się nie liczą.

- Postanowiłam zostać z Brianem. Nie chcę się z tobą sprzeczać, ale...

Clare poderwała się od stolika.

- Nie będziesz miała okazji - powiedziała zimno i szybko wyszła z restauracji.

Pojechała do swojego sklepu i stamtąd próbowała się dodzwonić do Jacka, lecz sekretarka powiedziała, że jeszcze go nie ma i że z Kanady poleciał do Stanów. Nie chciała jej podać numeru telefonu ani nazwy hotelu, w którym miał się zatrzymać. Było to zresztą zupełnie naturalne. Niepokoiło ją raczej to, że sam do niej nie dzwonił. Dostała tylko krótki list z lotniska, w którym dziękował za cudowną noc i zapowiadał, że zaraz po powrocie zrobi to osobiście jeszcze raz.

W prasie tymczasem ukazały się nowe rewelacje. Pewien przedsiębiorczy reporter, którego informatorem musiał być ktoś z obsługi wiejskiego hoteliku, odkrył, że rachunek za pokój regulował Munro. Fakt, że go z nią tam w ogóle nie widziano, celowo pominięto, za to nagłówek był doprawdy wystrzałowy. Clare uznała, że miarka się przebrała. Czekala tylko na Jacka, żeby porozmawiać z nim jeszcze przed oddaniem sprawy w ręce adwokata. Toby miał również dosyć dokuczania, a ukoronowaniem wszystkiego było pismo, jakie otrzymała z sądu. Zażądano od niej stawienia się w dniu takim to a takim w celu złożenia wyjaśnień. Venton powiadomił bowiem sąd o zerwaniu zaręczyn i stwierdził, że jego zdaniem jest nieodpowiedzialna jako matka.

Clare wpadła w furię. Zatelefonowała do biura Jacka z prośbą o przekazanie mu, że chciałaby się z nim zobaczyć natychmiast, jak tylko wróci.

Nim się w końcu spotkali, upłynęły jeszcze dwa dni.

W piątek zadzwoniła do niej sekretarka. Powiedziała, że dyrektor jest już w domu i że chciałby się z nią zobaczyć rano, w czasie spotkania z synem, na pokładzie HMS „Belfast”, statku wojennego, zakotwiczonego na stałe na Tamizie nieopodal Tower of London. Clare była mocno zdziwiona, że nie zatelefonował do niej sam albo po prostu nie przyjechał, ale mogła jedynie powiedzieć, że oczywiście oboje - i ona, i Toby - tam będą.

Od rana przed budynkiem pętał się jakiś dziennikarzyna. Widząc go, Clare przywołała taksówkę. Taksiarz na szczęście stanął na wysokości zadania i udało mu się zgubić natręta. Kiedy dojechali na miejsce, tęsknie rozejrzała się za Jackiem. Siedział na ławce i czytał gazetę. Toby zobaczył go w tym samym momencie i pobiegł jak strzała. Jack uniósł go do góry, zaczął się z nim głośno i serdecznie witać, a potem wręczył chłopcu model, który przywiózł mu w prezencie. Na Clare ledwie spojrział. Wyraz radosnego oczekiwania zniknął powoli z jej twarzy. Jack kupił bilety na statek, ale nie odezwał się ani słowem. Dopiero kiedy znaleźli się na pokładzie i Toby, uradowany, odszedł dalej, powiedział zimno.

- Podobno chciałaś się ze mną widzieć... Popatrzyła na niego ostro.

- O co ci chodzi? Dlaczego taki dla mnie jesteś? Podniósł na nią oczy. Nie były to oczy kochanka ani przyjaciela. Raczej wroga.

- Co ci jest? - powtórzyła łamiącym się głosem. Coś dusiło ją za gardło, kładło ciężką łapę na piersi. Czowała, że Jack zamierza odsunąć ją od siebie, że historia się powtarza.

- Czytałem gazety - powiedział. - Wiem, że miałaś romans z Seanem Munro. Odsunął się, nie mogąc na nią patrzeć, i zacisnął ręce na burcie, aż mu zbieleły kostki. Najchętniej w ogóle by jej już nie oglądał, ani dziś, ani nigdy, ale wiedział, że i tak kiedyś trzeba będzie spojrzeć prawdzie w oczy. Im prędzej więc zakończy się ta przekłeta sprawa, tym lepiej... Podszedł Toby i o coś zapytał. Jack odpowiedział mu i nawet zaczęli ze sobą rozmawiać, ale przez cały czas myślał o tym, jak niechętnie zostawiał Clare, nie chcąc zawieść ludzi, czekających na niego w Kanadzie. Potem jednak, zaledwie dobę później, wziął do ręki jakąś angielską gazetę i zobaczył na pierwszej stronie zdjęcia Clare i Seana Munro. Ciąg dalszy sensacyjnych doniesień znajdował się na stronie wewnętrznej, a tam z kolei znalazł swoje zdjęcie i brednie na swój temat. W pierwszej chwili nie chciało mu się wierzyć. Oczekiwał ze strony Clare albo Munro jakiegoś sprostowania, ale nie słyszał, żeby się gdzieś ukazało. Znalazł natomiast oświadczenie Ventona, który stwierdzał, że zerwał zaręczyny, ponieważ dowiedział się o tym romansie.

Kilkanaście razy Jack podnosił już słuchawkę, żeby zadzwonić do Clare, ale w końcu rezygnował. Zawiadomiono go, że telefonowała do biura, lecz nawet wtedy nie skontaktował się z nią. Czekał na dementi. Dementi jednak nie było. Zamiast niego, w jednej z poczytniejszych kolorówek znalazł artykuł z wyliczeniem wizyt Munro w mieszkaniu Clare. Aktora rozpoznało parę osób mieszkających bądź pracujących w budynku. Jedna czy dwie zgodziły się nawet na podanie swego nazwiska. Widziały, jak sam otwierał sobie drzwi. Miał własny klucz. Tyle.

Gdyby to była nieprawda, niewinni ludzie zaprotestowaliby, zagrozili gazecie procesem, ale tego właśnie zabrakło. Co więc miał myśleć?

- I ty w to uwierzyłeś? - powiedziała głosem, który zabrzmiał nienaturalnie nawet w jej własnych uszach.

Odwrócił głowę i spojrzał jej w twarz.

- A co? Wszyscy kłamią?

Zapadła cisza, którą przerwał gorzki śmiech Clare.

- Uwierzyłeś zatem. Jakiś szmatławiec drukuje nikczemną historyjkę, a ty wierzysz każdemu słowu! Nawet ci się nie chciało zadzwonić i zapytać, czy to prawda. Po co? Łatwiej było od razu pomyśleć o mnie wszystko co najgorsze...

- Więc pytam cię teraz: czy to prawda?

- Prawda - powiedziała z nienawiścią w oczach, usiłując ukryć gorycz i zawód. - Sean przychodził do mojego mieszkania wiele razy. Nie pamiętam już ile, wyliczenie znajdziesz w gazecie. Owszem, dałam mu klucz. I owszem - prosto z tamtej gospody, w której się z tobą przespałam, pojechałam do domu, do niego. Nie muszę chyba mówić po co. Dośpiewaj sobie sam.

Jack zbladł. Zrobił ruch, jakby chciał rzucić się na nią z pięściami, ale wsunął je do kieszeni.

- Mam rozumieć, że...

- Tak! Potwierdzam wszystko, wszystko, co tylko chcesz. - Potrząsnęła głową i roześmiała się w głos. - Mam dziwną pewność, że i ty, i Toby poradzicie sobie beze mnie.

Wyminęła go z podniesioną głową, lecz kiedy nie mógł już jej widzieć, oparła się ciężko o jedną z wieżyczek strzelniczych i mocno zacisnęła powieki. Zaraz jednak zebrała się w sobie i ruszyła do domu.

Jack przywiózł Toby'ego parę godzin później. Kiedy zadzwonił, otworzyła mu drzwi klatki schodowej, ale nie poprosiła go na górę. Toby był pełen wrażeń i bardzo się starał zarazić ją swoim entuzjazmem, toteż odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie usiadł i zaczął rysować statek. Dla Jacka, oczywiście. Podarował mu już całą kolekcję, myślała zawistnie, przyglądając się synkowi. Był taki podobny do ojca. Będzie jej wiecznie przypominał, jakby to mogło być, gdyby Jack jej zaufał, gdyby mu naprawdę na niej zależało.

Nie ocierała łez spływających wolno po twarzy. Odwróciła tylko głowę, żeby nie zauważył ich Toby. Zastanawiała się, czy Jack wykorzysta te „wyznania”, żeby odebrać jej dziecko, zeznając przed sądem, że jest złą matką i nie powinna go wychowywać. Możliwe. Życie obchodziło się z nią ostatnio tak bezlitośnie, że gotowa była uwierzyć we wszystko, również w to, że mógłby się okazać aż taki okrutny. Może zresztą właśnie z tych względów wygodnie mu było uwierzyć w jej romans z Seanem. Rozpaczliwie pragnął odzyskać Toby'ego. Czy w tym celu gotów był się z nią przespać, a nawet ożenić? Możliwe. Teraz jednak otwierała się przed nim szansa odebrania syna bez konieczności wiązania się z nią. Było to straszliwie bolesne. Bolało ją zwłaszcza to, że tak krótko była szczęśliwa. Decydując się na zbliżenie z Jackiem, uświadomiła sobie wreszcie to, o czym zawsze wiedziało jej serce - że od samego początku, od tej nocy, kiedy został poczęty jej syn, bardzo go kochała. To dlatego potem, przez wszystkie te lata nie podobał się jej żaden mężczyzna. Mówiła sobie, że jest wybredna, ale to nie tak. Żyła w niej po prostu tamta jedyna miłość, której nic nie mogło zastąpić. A teraz jeszcze raz ją rzucił.

Dziś wieczorem miała się spotkać na kolacji z przyjaciółmi jej zmarłych rodziców. Byli to zacni ludzie, którzy z dobrego serca całe lata podtrzymywali z nią kontakt. Parę dni temu ów znajomy powiadomił ją jednak telefonicznie, że żona zachorowała, w związku z czym odwołuje spotkanie. Clare nie uwierzyła mu - prawdziwą przyczyną zerwania stosunków był skandal rozpetany przez prasę. Mogła więc przypuszczać, że odsuną się od niej i inni porządni ludzie, natomiast plotkarze będą ją nagabywać o spotkanie. Na automatyczną sekretarkę nagrało się już kilkoro takich żadnych sensacji zapraszających. Skandal miał wpływ również na interesy - paru klientów zrezygnowało z jej usług.

Najbardziej jednak martwiła się o Toby'ego. To on był, jak zawsze, najważniejszy. Uświadomiła sobie, że w jej życiu nastąpił kolejny kryzys i że trzeba się zdecydować - albo przeczekać i jak przedtem wziąć się w garść, albo też sprzedać wszystko, wyjechać za granicę i zacząć od nowa gdzieś, gdzie nikt jej nie zna. Na przykład w Australii.

Wstała i wyrzała przez okno. Wyjazd byłby czymś niezmiernie bolesnym. Kochała Londyn, Anglię. Płakała gorącymi łzami, stojąc nieruchomo przy oknie. Jeszcze raz waliło się jej życie, lecz Toby nie mógł się o tym dowiedzieć.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Tydzień później Jack stał również w oknie, patrząc w przestrzeń. W ciągu minionych siedmiu dni nie był w stanie skupić się na pracy ani w ogóle na niczym. Sprawa w końcu zniknęła z gazet, lecz miała swoje konsekwencje. Zatelefonował do niego adwokat, pytając, czy zamierza ubiegać się o pełną opiekę nad Tobym; w tej sytuacji sąd mógłby się do tego przychylić. Odpowiedział, że musi to przemyśleć i oddzwoni.

Myślał więc, siedząc nieruchomo przy biurku albo przed nie włączonym telewizorem w domu. Poszedł na jakąś premierę, połączoną z akcją dobroczynną, ale później nie pamiętał nawet, o czym był film. Nie oddzwonił do adwokata, nie potrafił podjąć decyzji.

Uzmysłowił sobie, że leje deszcz i wstał. Czas jechać po Toby'ego. Miał zamiar zabrać go na wycieczkę, ale pogoda na to nie pozwalała. Muzeum... Można zawsze pójść do muzeum... Skrzywił się nagle i postanowił przywieźć chłopca tutaj. Ciekawe, co by było, gdyby przyjechała również Clare? Jak by się czuł, jak by się zachował? Myśli te przebiegły mu przez głowę, ale wiedział, że nie mają sensu. Clare nie przyjedzie. Już raczej zostawi ich samych, niżby miała się z nim zobaczyć. Chłopczyk czekał na niego na klatce schodowej. Był przytłumiony i siedział cicho na tylnym siedzeniu. Rozchmurzył się dopiero wtedy, gdy weszli do sklepu z zabawkami, gdzie wybrał sobie model samolotu do sklejenia.

W domu Jack posadził go w kuchni. Rozłożył na stole stare gazety, usiadł i pomagał, kiedy napotykali trudności. Rozmawiali przy tym, a Toby zaśpiewał mu nawet piosenkę, której nauczył się w szkole. Sporo kleju i farby rozlało się, ale w końcu złożyli model. Toby był zachwycony. Zaczął biegać z samolocikiem po całym mieszkaniu i udawać odrzutowiec.

Jack roześmiał się i spojrział na zegarek. Zostało niewiele czasu - tyle, by zabrać syna na lunch i odwieźć go do domu. Zdjął ze stołu warstwę pozlepianych klejem gazet, wrzucił je do kosza i kiedy wrócił, żeby sprzątnąć resztę, zobaczył, że Toby stoi przy stole i wpatruje się w czyjeś zdjęcie. Z potwornym uczuciem winy spostrzegł, że jest to fotografia Seana Munro.

- To ten pan był w filmie kosmicznym - powiedział Toby. - Dał mi autor... auto... no wiesz... - Nie mógł sobie przypomnieć słowa. - Mam u siebie w pokoju na ścianie plakat z tego filmu. Podpisał mi się i napisał: „Toby'emu, przyjacielowi kosmicznych podróży”. Wiem, bo ciocia Tanya mi to przeczytała.

- Ciocia Tanya? - powtórzył Jack, myśląc głównie o tym, żeby jak najszybciej zebrać gazety i zabrać je sprzed oczu chłopca. - A kto to jest?

- To przyjaciółka tego pana. Byli u nas razem jednego dnia, kiedy Jonesy przyprowadził mnie ze szkoły.

Jack znieruchomiał z na wpół zgniecioną gazetą w ręku.

- A mama? Mamy wtedy nie było?

- Nie. Pojechała do pracy. Była tylko ciocia Tanya i Komandor Kosmicznej Floty. Już wychodzili, więc mieliśmy szczęście, że zdążyliśmy złapać windę, bo inaczej byśmy go nie zobaczyli i nie podpisaliby mi się na plakacie.

- Czy ciocia Tanya jest siostrą mamy? - Jack czuł, że mówi nieswoim głosem, choć bardzo się starał nad nim panować.

- Nie. Przyjaciółką. Ma na nazwisko Beresford. Ma chłopca i dziewczynkę. Nie chodzą do mojej szkoły, ale czasami bawimy się razem w parku. Tylko że teraz - w jasnych, rezolutnych oczach chłopca mignęła przykreść - mamusia rzadko mnie tam zabiera. Tam są tacy okropni panowie. Ciągłe za nami chodzą. - Popatrzył na Jacka z nadzieją. - Gdybyś ty z nami poszedł, to może by nas nie ścigali.

Myśli Jacka gonily jak w gorączce. Czy to możliwe? Czy to możliwe, że się mylił? Że wszyscy się mylili? Prasa, plotkarze, Venton? Och Boże, miał taką nadzieję. Jakże by chciał.

Pojechali na hamburgery i chociaż wziął też coś dla siebie, nie był w stanie jeść.

Jeśli Clare była niewinna, to tłumaczyło jej gniew. A jeżeli strzegła reputacji swojej zamężnej przyjaciółki, to powody, dla których nie wystąpiła ze sprostowaniem, również stawały się zrozumiałe. Musi się z nią zobaczyć, porozmawiać. Niecierpliwie czekał, aż Toby się naje, i natychmiast zawiózł go do domu.

Nie czekając na zaproszenie, wszedł z Tobym do klatki schodowej i zawiózł go windą na górę. Clare czekała w drzwiach. Na widok Jacka pobladła.

- Musimy porozmawiać - powiedział, blokując stopą drzwi, żeby nie mogła ich przed nim zatrzasnąć.

- Nie mam ci nic do powiedzenia. Czy mógłbyś łaskawie sobie pójść?

- Nie. Najpierw porozmawiamy.

Próbowała go wypchnąć, lecz zaparł się w progu i wszedł. Kiedy spojrzał na jej twarz, zrobiło mu się jej żal. Miała podkrążone z niewyspania oczy, była blada i mizerna.

- Zobacz, co zrobiłem. - Toby z dumą pokazywał matce samolot.

- Wspaniały! - Pochyliła się nad modelem. Waliło jej serce. Czowała, że ta wizyta ma na celu tylko jedno. Jack będzie próbował odebrać syna. Przyjechał jej to zakomunikować.

Jeszcze przez moment oglądała samolot, po czym zdjęła Toby'emu kurteczkę.

- Hej, a co ty tam masz na koszuli? Farbę? Może byś tak poszedł się przebrać?

Posłała go do łazienki i unikając wzroku Jacka, odwróciła do niego twarz.

- Słucham cię.

Poruszony pełną miłości sceną powitania, nie zareagował od razu. Tę miłość tak bardzo chciał z nimi dzielić, mieć ją i dawać. Wiedział, że gra o najwyższą stawkę i że może stracić wszystko. To, czy Clare miała romans z innym, nie powinno pewnie mieć dla niego aż takiego znaczenia, ale miało, bolało, raniło mu serce.

Podejrzewał również, że gdyby romansowała z Ventonem, nie obeszłoby go to aż tak bardzo. Venton był mięczakiem, który się nie liczył. Sean Munro natomiast... O tak, to był ktoś. Jack czuł, że odchodzi od zmysłów z zazdrości. Musi się dowiedzieć, czy poszła z tym przeklętym człowiekiem do łóżka. Musi wydobyć z niej prawdę!



- Dlaczego mi nie powiedziałaś - wyrzucił z siebie na oślep - że to twoja przyjaciółka, Tanya Beresford, ma romans z Munro?

Clare wstrzymała oddech. Nie o tym miała być ta rozmowa.

- Skąd wiesz?! - wybuchnęła. - Czy... czy sama ci się przyznała?

- Nie. - Nagle złagodniały mu oczy i odbiła się w nich głęboka ulga. - Zdaje się, że troszczysz się o nią bardziej, niż ona o ciebie. Powiedział mi o tym Toby... Chodź, coś ci pokażę.

Wziął ją za rękę, zaprowadził do pokoiku Toby'ego i wskazał wiszący na ścianie plakat z autografem Seana. Ten podpis, złożony lekką ręką, by zrobić dziecku przyjemność, mógł zmienić w ich życiu wszystko.

- Któregoś dnia Toby i Jonesy wrócili do domu wcześniej - wyjaśnił, pociągając Clare z powrotem do saloniku. - Zastali ich oboje, a Toby rozpoznał Seana z filmu.

- W ogóle tego nie zauważyłam - mruknęła kompletnie zaskoczona.

- Udostępniłaś im swoje mieszkanie? Tak? Niechętnie kiwnęła głową.

- Po co mi to było...

- No właśnie. Po co to wszystko? Wzruszyła ramionami.

- Tanya była w kropce. Nie umiała się zdecydować. Pomyślałam, że jeśli ułatwi się jej pewne sprawy, to spowszednieją i być może wróci do Briana... Do swojego męża. No i ... - zaśmiała się z goryczą - wszystko gra, tylko że niezupełnie tak, jak to sobie wyobraziłam. Ale Tanya wróciła do męża.

- Dała kosza Seanowi Munro?

- O, nie... Nadal się w nim kocha. Tyle że przestraszyła się towarzyszącej jego osobie atmosfery skandalu: dziennikarzy, polujących zawsze i wszędzie na wywiad, szalejących fotoreporterów, kompletnego zatracenia prywatności. Wszystko to - dodała gorzko - zostawiła dla mnie.

- Czemu więc nie opublikowałaś dementi?

- Chciałam. - Westchnęła niecierpliwie. - Gdybym to jednak zrobiła, wszystko by się wydało. Brian by się dowiedział, byłoby po małżeństwie. A mają przecież dzieci.

- Wzięłaś więc całą sprawę na siebie? Chciał ją przytulić, ale odepchnęła go wrogo.

- Nie dotykaj mnie!

- Ależ... Czy ty niczego nie rozumiesz? Przecież to wszystko zmienia.

Roześmiała się wzgardliwie.

- Czyżby? A niby, co takiego się zmieniło? Dowiedziałeś się prawdy i co? Wszystko załatwione? Możemy wrócić do punktu wyjścia? Ach, ty zarozumiały draniu! Dwa razy w życiu dałeś mi już w twarz i jeśli myślisz, że dalej chcę mieć z tobą coś wspólnego, to chyba zwariowałeś.

- Przypominasz sobie na pewno... przecież pytałem cię, czy to prawda. Nie tylko nie zaprzeczyłaś tym bredniom, ale wręcz kazałaś mi w nie wierzyć.

Mówił bez gniewu, czując niesłychane uniesienie. Był absolutnie pewien, że Clare należy do niego. Że musi się tylko wyłóścić, wyrzucić z siebie żal, a potem... potem zacałuje ją na śmierć i zmusi, żeby przyznała się, że go kocha.

Clare jednak przeniknęła jego myśli.

- Gdyby ci naprawdę na mnie zależało...

- Zależy mi - przerwał. - Właśnie dlatego było to dla mnie takie bolesne.

- Gdyby ci naprawdę zależało - powtórzyła, jakby go nie słyszała - tobyś mi ufał. Nie uwierzyłybyś w te plotki. Wiedziałbyś, że są to kłamstwa.

- Myślisz, że chciałem temu wierzyć? Dzień po dniu czekałem na dementi z twojej strony, ale go nie było. Zwątpilem, przyznaję. Pomyślałem, że to możliwe... że miałaś romans z Munro. Czepiałem się tylko nadziei, że to już skończone, że ta noc, którą spędziliśmy razem, coś naprawdę znaczyła.

Patrzyła na niego przez chwilę i nagle roześmiała się głośno.

- Mój Boże! Myślałeś, że to ty zostałeś odrzucony? Hm... To dobrze. Przynajmniej wiesz, jak to jest.

- Jeśli cierpiałaś przeze mnie przez te wszystkie lata, jak ja przez ciebie w ubiegłym tygodniu, to bardzo żałuję. Skoro jednak tak było, to znaczy, że musiało ci na mnie choć trochę zależeć. I myślę - dodał, trzymając jej wzrok na uwięzi - że wciąż ci zależy, mimo wszystko. Wierzyłem, że mamy przed sobą przyszłość. I wierzę nadal.

- My i przyszłość? - Roześmiała się ironicznie. - Jesteś nienormalny. Nie wyobrażam sobie nawet, żebyś mógł mnie dotknąć, a co dopiero...

- Nie wierzę. Pragniesz mnie tak jak ja ciebie. Zaraz... Chciał ją do siebie przygarnąć, ale podciągnęła wąską spódnicę i zamachnęła się nogą.

- Zjeżdżaj! Odczep się ode mnie!

Żadne z nich nie zauważyło Toby'ego, który otworzył drzwi i patrzył.

- Ty podły draniu! - krzyczała Clare. - Jesteś ostatnim facetem, z którym chciałabym być! Wolę kilkunastu takich Seanów Munro niż jednego ciebie.

- A Ventonow ilu?

- Sto tysięcy!

- Ejże! - krzyknął, gdy wyrzuciła nogę wysoko, jakby tańczyła ognistego kankana. - To już przesada! Chcesz mi uniemożliwić małżeńskie przyjemności? - Wybuchnął śmiechem. - Ciebie też to powinno interesować.

- Mnie? Chyba oszalałeś. Nie wyszłabym za ciebie, choćbyś nawet mi powiedział, że mnie kochasz.

Jack śmiał się jak opętany.

- Może bym i powiedział, gdyby nie te nogi. No, dosyć już, czarownico. Mam cię! - Chwycił ją zręcznie z boku i przyciągnął do siebie. - Ty piękna, cudowna wariatko! Dobrze wiesz, że szaleję za tobą.

Zesztywniała w jego ramionach, lecz kiedy spojrzała mu w oczy, zobaczyła w nich czułość i wytęsknioną miłość, o której marzyła przez wszystkie te długie, puste lata. W jednej chwili opuścił ją lęk, niewiara i gniew. Uśmiechnęła się jeszcze niepewnie, gdy nagle odniosła wrażenie, że trzasnęły drzwi.

- Co to? - Odwróciła głowę.

- Nic. Jakieś drzwi. - Niepomny na nic, pociągnął ją do siebie.

- Chyba nasze, wejściowe... - Nasłuchiwała niespokojnie. - Toby! - Oswobodziła się i podbiegła do okna. - Zajrzyj, czy jest w swoim pokoju.

Zawahał się, lecz pobiegł.

- Nie ma go. Nigdzie...

Przerwał mu okrzyk Clare. Spostrzegła Toby'ego z okna; właśnie wybiegł z klatki schodowej.

- Na pewno widział, jak się ze sobą szarpiemy! - rzuciła już w drzwiach. Nie czekając na windę, zbiegli pędem po schodach. Clare pierwsza wypadła za bramę i bez wahania skręciła w prawo.

- Dokąd? - zawołał za nią. - Gdzie on mógł pójść?

- Do Jonesy'ego, do schroniska.

Biegli w strugach deszczu, rozpryskując kałuże. Wkrótce oboje byli, całkowicie przemoknięci. Niecierpliwym gestem Clare odgarnęła z oczu sklezione włosy.

- Widzisz go gdzieś?

Ulica, z powodu meczu piłki nożnej, który miał się odbyć na pobliskim boisku, pełna była samochodów, autokarów i ludzi tarasujących chodnik.

- Nie. - Jack zderzył się z jakąś panią niosącą torbę z zakupami, przeprosił ją nie zatrzymując się i biegł dalej.

- Żeby dojść do schroniska, musi przejść przez dwa skrzyżowania - denerwowała się Clare.

Dobiegli do pierwszego, w chwili gdy zmieniły się światła. Sznur samochodów ruszył. Jezdnia, jak to w Londynie, zamieniła się w istną rzekę pojazdów, w której nie było miejsca dla pieszych. Jack chwycił Clare za rękę i odciągnął ją od krawężnika, jednocześnie lustrując wzrokiem drugą stronę ulicy.

- Jest! Tam!

W zwartym tłumie kibiców mignęła na moment sylwetka Toby'ego. Szedł szybko z falą ludzi w kierunku następnego skrzyżowania.

- Szybciej, szybciej! - Clare głośno poganiała światła.

Wreszcie! Przebiegli ulicę. Za zakrętem nie było już takich tłumów, mogli więc nadrobić stracony czas. Widzieli Toby'ego. Nie miał chyba świadomości, że idą za nim, bo nie oglądał się. Dystans zmniejszał się szybko i kiedy doszedł do przecznicy, byli już blisko. Światło było jeszcze czerwone, ale jezdnia na chwilę opustoszała. Nie czekając, chłopczyk ruszył do przodu.

- Toby! - Usłyszał widocznie ich przestraszone głosy, ponieważ nagle stanął. W tym samym momencie zza rogu pełnym gazem wyjechała ciężarówka. Kierowca chciał zdążyć przed zmianą światel.

Widząc, że Toby zamarł przerażony, Clare krzyknęła przeraźliwie, lecz nogi dosłownie wrosły jej w ziemię. Jack natomiast wybiegł na jezdnię, porwał chłopca spod kół i odrzucił go na bok. Sam nie zdążył odskoczyć. Przez sekundę wydawało się, że został wciągnięty pod koła, lecz odbił się od zderzaka i wyrzucony w powietrze spadł na chodnik jak popsuta lalka.

Przytrzymując szlochającego Toby'ego, Clare uklękła przy nim. Był nieprzytomny, ale nie krwawił. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Cała się trzęsła.

- Jack! - Klepnęła go lekko po twarzy. - Błagam cię, Jack, obudź się, odezwij.

- Wlazł mi prosto pod koła! - Kierowca ciężarówki wysiadł i podbiegł do nich. - Nie dało rady hamować!

- Niech pan wezwie karetkę!

Jedną ręką przygarniała tulącego się do niej Toby'ego, drugą zaś próbowała namacać Jackowi puls. Była jednak zbyt roztrzęsiona, żeby go wyczuć. Wokół zaczęli się zbierać gapie.

- Karetka już jedzie - usłyszała. - Będzie za parę minut. Dla Clare były to najdłuższe minuty w życiu. Wydawały się jej wiecznością. Obejmowała głowę Jacka, powtarzając jego imię, ale aż do przyjazdu pogotowia nie otworzył oczu. Lekarz zajął się nim od razu, jednakże poza krótkim: „Żyje” niewiele więcej od niego usłyszała. Pozwolono im zabrać się razem. Karetka ruszyła szybko do najbliższego szpitala. Clare nie miała przy sobie pieniędzy, ktoś dał jej jednak coś gorącego do picia i ręcznik do wytarcia włosów. Toby przestał płakać, nie dał się tylko od niej oderwać. Próbowała go uspokoić, mówiła, że wszystko będzie dobrze, ale myślami była przez cały czas przy Jacku. Wreszcie podeszła do nich jakaś młoda pielęgniarka. Powiedziała, że odzyskał przytomność i przewieziono go na rentgen. Czekali więc nadal. Toby usnął na jej kolanach. W ciągu godziny w przegrzanym pomieszczeniu wyschły im ubrania.

Wyobrażając sobie, że Jack ma przynajmniej pęknięcie czaszki, Clare czuła, że jeśli ktoś zaraz nie przyjdzie i nie powie, w jakim on jest stanie, zacznie chyba krzyczeć. Podniosła się z ławki i w tym samym momencie do poczekalni weszła pielęgniarka, a razem z nią Jack. Widząc, że idzie o własnych siłach, wybuchnęła płaczem.

- Hej! - Usiadł przy niej. - Co to za łzy? Z mojego powodu?

- Och Boże! Myślałam, że umarłeś albo że odniosłeś jakieś potworne obrażenia.

- No pewnie. Spójrz. - Podciągnął rękaw kurtki i odsłonił gips. - Mam złamany nadgarstek. Przez parę tygodni będę potrzebował czulej opieki.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w jego twarz.

- Tylko przez parę tygodni? - zapytała z uśmiechem.

- Może to będą miesiące... - Nachylił się, żeby ją pocałować. - A może lata... - Znowu ją pocałował. - Może nawet całe życie?

- Nie uderzyłeś się w głowę?

- Chyba tak, a co? Pogładziła go po policzku.

- Może nie wiesz, co mówisz.

- Jedno wiem na pewno. Bardzo cię kocham, i chcę, żebyś za mnie wyszła.

- Kiedy ślub? - Uśmiechnęła się miękko.

- Jutro, a choćby i wcześniej. Roześmiała się, udając, że się waha.

- Będę musiała zapytać o to mojego synka. - Zerknęła na Toby'ego, który obudził się i patrzył na nich. - No co, malutki? Co o tym myślisz?

Nic nie mówiąc, uśmiechnął się i klękawszy na kolanach Clare, ścisnął ich oboje za szyje tak mocno, że mało ich nie udusił.

- Wystarczy - powiedziała przez łzy, kiedy ich puścił. Jack rozejrzał się po przesyconej wonią mokrych ubrań poczekalni.

- Oświadczając się w takim miejscu... święty Boże! Clare delikatnie dotknęła jego ręki i popatrzyła na niego z miłością.

- Dobrze jak każde inne.

Wzruszenie odebrało mu mowę. Posiedział jeszcze chwilę, po czym wstał.

- Chodźmy - powiedział nieswoim głosem. - Złapiemy taksówkę i jedziemy do domu.

Przed szpitalem Clare nagle stuknęła się w czoło.

- Nie dostaniemy się do mieszkania. Zatrzasnęłam drzwi.

- Nie przejmuj się. - Objął ją zdrową ręką. - Pojedziemy do mnie.

I tak oto, po raz pierwszy w życiu, Jack Straker zabrał całą swoją rodzinę do domu. Wieczorem, po kolacji, którą przygotowała Clare, spędzili wspaniałe chwile, kąpiąc razem Toby'ego. Kiedy położyli go spać w wolnym pokoju, przytrzymał matkę za rękę.

- Czy pan Straker zawsze będzie moim tatą?

- Zawsze - zapewnił go Jack, czując, że kraje mu się serce. - Już się ode mnie nie uwolnicie.

- Nie chcę się od ciebie uwolnić - sprzeciwił się poważnie malec. - Chcę, żebyś był moim tatą. Ale kiedy się biliście, to nie chciałem - dodał z lękiem w oczach.

- Nie biliśmy się naprawdę - wyjaśnił mu Jack. - Byłem trochę niegrzeczny i mama mi to wypominała.

- Mnie nie kopie, jak jestem niegrzeczny... Jack wzburzył mu włosy.

- Ty to co innego. Ty jesteś kimś szczególnym.

- Ty też będziesz teraz kimś szczególnym?

- Tak - odpowiedziała za Jacka i posłała mu uśmiech nad głową chłopca. - Nawet bardzo. Może przeczytałbyś swojemu synowi bajkę?

Kiedy później wszedł do pokoju, zastał ją w swojej koszuli, którą znalazła po kąpieli, szukając czegoś do spania. Świeżo umyte, puszyste włosy okalały jej szczęśliwą twarz.

- Wyglądasz zupełnie tak samo jak wtedy. Miałaś na sobie starą koszulę mojego ojca. Pamiętasz?

- Myślałam, że w ogóle mnie nie zauważasz, że jestem ci obojętna.

Podszedł i otoczył ją ramionami.

- Och, Clare. To nie tak, zupełnie nie tak. Zrobiłaś na mnie wrażenie, ogromne... Ale nie chciałem wtedy dopuścić tego do siebie. Byłem żonaty, umarł właśnie mój ojciec. Kiedy jednak znowu się spotkaliśmy... nieważne zresztą... Wiesz, ciągle mam takie wrażenie, jakby tamtej nocy on z nami był, dodawał nam odwagi... Chciałbym wierzyć, że coś z jego wspaniałego ducha przelało się na Toby'ego, że to się w nim odrodzi.

Uśmiechnęła się, poruszona myślami Jacka, i sięgnęła do kołnierzyka jego koszuli.

- Czas, żebym się zaczęła tobą opiekować.